

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa, 24 lipca 1955 r.



CI 9013

Nr 29 (503)

O WOCIE trudnych lat

ACH... urlop... Zaciśnięta rzemyki plecaka „przysięgasz” — tylko jeść i spać. Wyrzekasz się tej całej cywilizacji: elektryczności, radia i prasy. Po prostu będziesz leżał pod drzewem, w trawie koniecznie wysokiej i patrzył sennie na najmiłsze, bo pierwsze owoce. Wystarczy rękę podnieść... I żadnej prasy, żadnych dyskusji polityczno-ekonomicznych...

A jednak czytasz. Po trzech, czterech dniach słodkiego lenistwa, pragniesz, żądasz wieści. Musisz przecież „widzieć” co się dzieje „tam” — za parkanem urlopowego sadu.

I właśnie wtedy uświadamiasz sobie jedenastą rocznicę Manifestu Lipowego. Właśnie wtedy łapiesz się na tym, że przecież dobiega końca Plan Sześcioletni. Potem już „samo” wylicza się; Nowa Huta i ta druga, „Sosnowiec” i ta trzecia, „Skawina”. Oświęcim i Zerań, Kędzierzyn i Lublin, Wierzbica, Jaworzno, Zambrów i Skolwina... — Żadnych dyskusji! — przypominasz sobie. Teraz za późno. Głaskasz w myśli te swoje wspomnienia, czyżby już wspomnienia?

...Jedenaste lat... Bitwa o ziarno, cegłę i aluminium; o płótno, muzykę, elementarz i... zyczliwość. Klęski i zwycięstwa, coraz więcej zwycięstw!

...Zbudowano potężny, nowoczesny przemysł, socjalistyczna ekonomika umacnia i rozszerza swoje pozycje na wszy, zmieniła się zasadniczo struktura społeczna narodu. Trud minionych lat zaczyna już wydawać swe pierwsze owoce.

Są one dostrzegalne nie tylko w dziedzinie ekonomiki. Wydarzenia jedenastego roku Polski Ludowej wskazują, że wraz z „bitwą o rolnictwo”, wraz z dążeniem do szybszego podnoszenia stopy życiowej obywateli ujawnia się coraz dojrzała spraca troska o prawidłowy styl pracy organów władzy ludowej, o właściwą postawę ideowo-moralną społeczeństwa. Troska ta znalazła m. in. wyraz w podjętej przez partię walce z biurokratycznymi schorzeniami aparatu państwowego, w dyskusji rozwijającej się od dłuższego czasu wokół moralnych problemów budownictwa socjalistycznego i socjalistycznej kultury.

Wszystkie te zjawiska są symptomami nowej fazy rozwojowej budownictwa socjalistycznego w Polsce, a nie, jak może chcieć jeszcze niektórzy, zapowiedzią rzekomego odwrótu z socjalistycznej pozycji w ekonomice i kulturze. O odwrócie można mówić tylko wtedy, gdy chodzi o wycofanie się z błędów niedojrzałej nadgorliwości, sekciarstwa i ciasnoty. W rzeczywistości zaś mamy do czynienia przede wszystkim z naporem pozytywnej problematyki, dojrzejącej obecnie do rozwiązania w oparciu o dorobek i doświadczenia minionego dziesięciolecia. Ta pozornie tylko nowa problematyka dnia dzisiejszego nawiązuje już bezpośrednio do dobrobytu i kultury obywateli państwa budującego socjalizm. Zwraca baczną uwagę na ich społeczną i osobistą moralność. Ujawnia coraz wyraźniej humanizm socjalistycznych stosunków społecznych dla wielu

lu do niedawna przystąpięty koniecznością osobistych wyrzeczeń charakterystycznych dla najcięższych, ale i najbardziej brzemiennych w konsekwencje, minionych lat Planu 6-letniego.

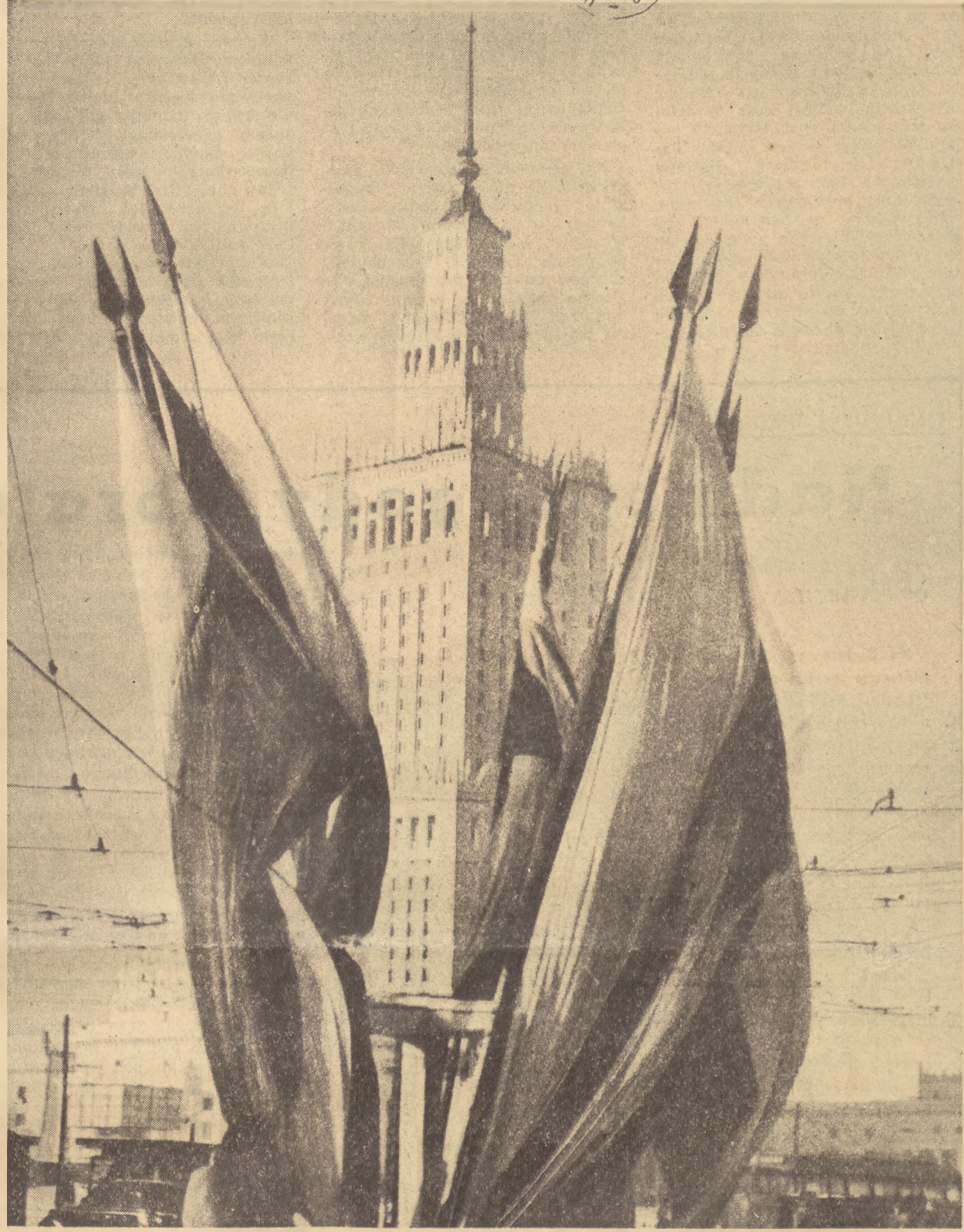
Jedenastą rocznicę Manifestu Lipowego obchodzimy w chwili, kiedy walka o pokojowe współistnienie państw o różnych ustrojach gospodarczych i społecznych zainicjowana przez dyplomację radziecką nabiera coraz większego rozmachu i ma na swym koncie poważne sukcesy. Trwają obrady konferencji genewskiej. Liczymy, że przyniesie ona dalsze złagodzenie napięcia w sytuacji międzynarodowej, że będzie krokiem naprzód w dziele likwidacji „zimnej wojny” i ułatwi podjęcie pokojowego współzawodnictwa między światem socjalistycznym i kapitalistycznym. Nie bez znaczenia jest fakt, że Polska Ludowa, która jest integralną częścią świata socjalistycznego, będzie mogła przystąpić do tego współzawodnictwa z poważnym dorobkiem ekonomicznym, zademonstrowanym m. in. na Międzynarodowych Targach w Poznaniu. Jest sprawą patriotycznego sumienia wszystkich Polaków, by ten dorobek, jak również osiągnięcia w dziedzinie kultury stałe pomnażać i doskonalić, umacniać autorytet ludowego państwa na arenie międzynarodowej i przyczynić się do pokojowego, dyktowanego interesem całej ludzkości zwycięstwa nowego, wyższego typu stosunków społecznych. Jest również sprawą naszego patriotycznego sumienia wyciągnięcie ręki do tych Polaków, którzy przebywając na emigracji nie zapomnieli żywej więzi z narodem i nie zarzucają myśli o powrocie do kraju.

W przemianach narodu uczestniczą aktywnie katolicy społecznie postępowi. Czynią to w imię służby narodowi oraz w przekonaniu o słuszności sprawy budownictwa socjalistycznego. Przekonanie to płynie zarówno ze społecznych konsekwencji doktryny katolickiej, zobowiązującej człowieka wierzącego do udziału w doskonaleniu świata, jak i z obiektywnej wymowy sytuacji historycznej, wskazującej na ustrój socjalistyczny jako na konkretną formę doskonalenia stosunków społecznych. Jesteśmy zdania, i mamy na to dowody, że misja religijna Kościoła jest możliwa do spełnienia i ma perspektywę rozwoju w państwie budującym socjalizm. Przyczynić się do właściwych warunków pełnienia tej misji przez Kościół jest jednym z naszych zasadniczych zadań. Jesteśmy zdania, że funkcja społeczna katolicyzmu, oczyszczonego z feudalnych i kapitalistycznych uwarunkowań, będzie wspierać i przyspieszać kształtowanie się nowego ustroju w Polsce.

Skonczyłeś czytać. Składasz gazetę, opierasz głowę o pień drzewa. Jak napisali?

...„Sprawa... sumienia wszystkich Polaków... ten dorobek... pomnażać i doskonalić...”

Schylają się ku tobie gałęzie jabłoni. Piękne będą dojrzałe owoce. Trzeba tylko zasużyć na wyciągnięcie dłoni.



Fot. Z. Wdowiński

ZDZISŁAW UMIŃSKI

WŚRÓD LUDZI I PAWILONÓW

PWIEN dziennikarz francuski napisał kiedyś, że już w ciągu kilku godzin opuszczeniu lotniska potrafi określić poziom życia kraju, do którego przychodzą w tym celu nie notuje ilości na przykład artykułów spożywczych wystawionych w witrynach sklepów, lecz liczbę elegancko i gustownie ubranych kobiet. Nie będę się spierał czy tego rodzaju metoda jest słuszna. Pozwolę sobie jedynie zauważyć, iż Francuzi skłonni są do przesady.

Choć zastrzeżenia moje, mimo tej uwagi, nie negują całkowicie wspomnianej metody, muszę stwierdzić, że bardziej odpowiada mi inny w tej materii pogląd. Ten mianowicie, jaki wypowiedział już przeszło 170 lat temu Adam Smith. O bogactwie narodu stanowi praca ucieleśniona w wytworach stworzonych przez człowieka, a więc praca pojęta w jak najszerszym znaczeniu.

Zrozumiałe jest, że do tych wytworów pracy ludzkiej należy zaliczyć zarówno perfumy znanej paryskiej firmy Lucien Lelong, jak również wspaniałe łyńskie jedwabie, w które tak chętnie ubierają się kobiety całej niemal Europy. Jednakże istnieją jeszcze inne dobra wytworzone dzięki pracy ludzkiej, takie dobra, które stwarzają podstawę ekonomiczną dla dalszego rozwoju społeczeństwa, a mianowicie maszyny, urządzenia techniczne i wszelkiego rodzaju agregaty.

Ciesząc się więc z przyjemnego dla oka, gustownego ubioru naszych pań nie zapomnijmy... o maszynach, które produkują żorzęty, jedwabie, taffety, crépe de chine i lekkie welny. Jest to bowiem także sprawa ekonomii, a ściślej mówiąc ekonomiki przemysłu. A o tym jak szeroko prawa ekonomiki wpływają na

kształtowanie się opinii i sądów — przekonały mnie odbywające się obecnie XXIV Międzynarodowe Targi Poznańskie.

A więc Targi. Czytelnik ma już zapewne dosyć tego wstępu. Kiedyż wreszcie — myśli — coś o ekspozycjach, pawilonach, kiermaszach. A więc Targi — powtarzam i... muszę prosić czytelnika jeszcze o chwilę cierpliwości. No bo jakże inaczej, skoro wybrałem się na zwiedzanie MTP w niedzielę. Tysiące ludzi, w tym chyba sto wycieczek z PGR-ów, tyleż ze Spółdzielni Produkcyjnych, a dwa razy więcej z gospodarstw indywidualnych — uniemożliwiało swobodne poruszanie się i notowanie uwag. A przecież nie brakło również nie mniej licznych wycieczek z zakładów przemysłowych, drobnej wytwórczości, spółdzielni pracy itd. itd., nie licząc tych, którzy przyjechali, tak jak ja, aby samotnie, w skupieniu móc zapoznać się z dorobkiem naszego dziesięciolecia oraz dorobkiem innych krajów. Tłok był tak duży, iż na kilka godzin musiano wstrzymać sprzedaż biletów. Podobno około godziny 12 na terenie Targów znajdowało się ponad 70 tys. osób. Opuściłem więc tego dnia Targi i udałem się do mojego pokoiku, który dzięki sprawnemu Orbiśowi i patriotycznej postawie pewnej poznańskiej rodziny otrzymałem natychmiast do dyspozycji.

NAZAJUTRZ Targi opustoszały nieco, chociaż na kufelki piwa czekałem jeszcze od 10 do 15 minut. Posiłwszy się w autobusie serdelkiem z musztardą przystąpiłem do dzieła czyli do oglądania ekspozycji. I rzecz szczególna, po pewnym czasie spostrzegłem, że ekspozycje te, będące zwykłymi materiałnymi przedmiotami, pozwalają mi również głębiej zrozumieć pracę i życie ich bezpośrednich twórców.

Wychodząc z pawilonu chińskiego, zbudowanego w kształcie bogato rzeźbionej pagody, doszedłem do przekonania, iż w ciągu zaledwie kilkuminutowej spaceru lepiej pojęciem współczesną historię Chin i więcej o narodzie tym dała mi wystawa niż przeczytane dotychczas, niezbyt zresztą liczne, książki. Oczywiście mam tu na myśli te zwłaszcza zjawiska życia, a więc i wytwórczości, które są rezultatem społecznego przełomu, i które przełom ten w dalszym ciągu pogłębiają. Słowo drukowane trudniej takich wypadkach przemawia. Trzeba faktów. I oto ukazano mi je w postaci maszyn górniczych, wyrobów stalowych, motocykli, rowerów. Tego nie oczekiwałem. Wiedziałem, że Chiny eksportują herbatę, ryż i jedwab. Nie sądziłem jednak, iż wywożą stal w formie gotowych wyrobów. Cóż, czas biegnie tak szybko, że zasób własnych wiadomości, zasób własnej wiedzy należy ciągle konfrontować z rzeczywistością.

Chiny, ku zdumieniu wielu zwiedzających, obok artystycznych wyrobów z kości słoniowej, rzeźb w nefrycie i kamieniu — zaferowały stal. Nie jest to już słaby kraj mandarynów, lecz kraj rozwijającego się przemysłu. Z tym faktem musi liczyć się cały świat.

Na podkreślenie zasługuje dość charakterystyczne zjawisko, polegające na tym, iż, na ogół, w przeciwieństwie do państw zachodnio-europejskich, wśród ekspozycji wystawionych przez kraje demokracji ludowej przeważają wyroby przemysłu ciężkiego. Dowodzi to ogromnego rozwoju gospodarczego tych krajów oraz zmieniającej się światowej struktury wymiany handlowej. Polska już dzisiaj może pozwolić sobie na masową i seryjną produkcję wspaniałych obrabiarek, maszyn budowlanych i innych.

Coraz zamożniejszy staje się nasz kraj. Z roku na rok odradza się i dojrzała uroda jego miast, osiedli i wiosek. Coraz mniej śladów minionej wojny; coraz mniej wątpliwej romantyki niechlujnych zaułków i słomianych strzech. Coraz więcej zakładów przemysłowych i nowych bloków mieszkalnych, odbudowanych kościołów i pomników kultury narodowej, coraz więcej teatrów i stadionów sportowych.

Rośnie cegłą i zieleniami, betonem i szkłem nowy kształt Warszawy. Zgodnie z tradycją Święta Odrodzenia, mieszkańcy stolicy otrzymują w tym dniu do użytkowania nowe obiekty. Tak było z Trasą W-Z, Mariensztatem, Marszałkowską, Dzielnicą Mieszkaniową, Starym Miastem. W roku bieżącym szczególnie cennym, bo wzniesionym rękami przyjaciół podarunkiem świątecznym dla stolicy jest Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina.

Ta imponująca budowla, siedziba Polskiej Akademii Nauk i wielu innych instytucji kulturalnych, wyposażona w nowoczesne urządzenia, zrosła się już z sylwetką miasta, stała się jej nieodłącznym akcentem urbanistycznym. Ale jeszcze do niedawna nie znane były szerszemu ogółowi atrakcyjne szczegóły wnętrza. Znajac ciekawość warszawiaków pewne jest, że w dniu dzisiejszym i następnym bardzo wielu z nich przewinie się przez sale Pałacu, że przez wiele miesięcy pozostanie on ośrodkiem wzmożonego, „nadprogramowego” zainteresowania, co najmniej takiego, jeśli nie większego, jakim cieszyły się kiedyś Trasa W-Z, Mariensztat, MDM i Rynek Staromiejski. To specjalnie zainteresowanie trwać będzie aż do następnego 22 Lipca, do czasu, kiedy budowniczości stolicy przygotowują na pewno — zgodnie z tradycją — kolejny prezent; do czasu, gdy Pałac przostanie już bez reszty i na zawsze „warszawską” własnością.

Wywołały one wielkie zainteresowanie już na Międzynarodowych Targach w Lipsku, Paryżu i Izmirze. Wkrótce zostaną wystawione w New Delhi w Indiach, gdzie ekspozycje nasi mogą liczyć na coraz liczniejszych nabywców. W roku 1949 nasz eksport maszyn wyniósł tylko 3 proc. masy wywiezionych artykułów, a do końca bieżącego roku ma wynieść 14 proc.

Dużym zainteresowaniem cieszyło się wśród cudzoziemców stoisko budownictwa przemysłowego. Przedstawicielom naszych central eksportowych złożyli już kilka wizyt, interesujący się zwłaszcza dokumentacją projektów typowych wietnamskich. Dokumentacja bowiem także jest towarem — „zakłętą w rysunki i obliczenia techniczne pracą ludzką”. Kanadyjczyści oświadczyli, że budują w nich prawdziwy podwójny rozwiązania konstrukcyjne przy użyciu prefabrykatów, a przedstawiciel Holandii p. Schafman powiedział: „dokonałście bardzo wiele nie więc dziwnego, że nasze dotychczasowe dobre stosunki handlowe z Polską chcielibyśmy rozszerzyć”. Narody ceni się według ich pracy. Jej ciągłe pomnażanie budzi szacunek innych i przynosi korzyści materialne. Wielu kupców zagranicznych dopiero na Targach przekonało się, iż mogą uważać nas za poważnego kontrahenta w obrotach handlowych.

Rozmiary postępu polskiego przemysłu są mało dostrzegalne na codzień. Dopiero tu, na Targach, widząc skupiska potężnych maszyn naszej produkcji, nie sposób oprzeć się podziwowi. W ciągu dziesięciolecia zrobiliśmy kolosalny krok naprzód w przemyśle, mówi to stoisko maszyn ciężkich. Nie tylko to.

(Dokończenie na str. 3)

HELSINKI — GENEWA

ŚWIAT pragnie i potrzebuje pokoju. Przeciwności ustrój społeczno-gospodarczy krajów budujących socjalizm i państw burżuazyjnych oraz sprzeczności wewnętrzne obozu kapitalistycznego spowodowały, że istnieje w sytuacji międzynarodowej wiele spraw niezadowolonych, spornych i jątrzących, które jednak, przy dobrej woli stron zainteresowanych, powinny i mogą być uregulowane w imię pokoju światowego.

Jednakże ten stan rzeczy jest wykorzystywany przez kółka agresywne, marzące o panowaniu światowym i o ujarzzeniu woleńców narodów, dla wygrzania problemów spornych w swych planach wojennych. Głoszą one w związku z tym różne teorie o odwieczności i niuniknioności konfliktów zbrojnych, o wojnie jako *ultima ratio* wszelkiej polityki. Usprawiedliwiają tym politykę zbrojną twierdząc, że tylko siła decyduje, a posiadanie jej upoważnia do dyktowania swej woli popartej śmiertelnością bronią masową zagłady.

Protestując przeciwko temu miłującemu pokój narody i społeczeństwa tych państw, których rządy poświęcają egocentryzm klasowemu troskę o interesy narodowe swych krajów. Obróbcy pokoju wiedzą, że wojna nowoczesna przynosi ludzkości straszliwe cierpienia i że przeciwdziałanie jej stanowi nakaz obowiązku obywatelskiego, podjętany zarówno interesem własnym, jak i interesem zbiorowości. Wiedzą oni również, że żadna wojna nie jest bynajmniej jakąś nie dającą się odwrócić katastrofą żywiołową, lecz stanowi konsekwencje świadomego działania kół, widzących w tym swój interes, możną jej więc zapobiec przez również świadomą i zdecydowaną przeciwdziałanie.

KAŻDA wojna ma swe obiektywne przyczyny, każda wojna musi być prowadzona za pomocą odpowiedniego aparatu militarnego. Stąd przeciwdziałanie niebezpieczeństwu wojny powinno iść w dwóch kierunkach: 1) usuwania przyczyn obiektywnych, tj. ognisk zapalnych, płaszczyzny tarć i atmosfery naelektryzowanej, w której każda iskra może spowodować nieszczesny wybuch oraz 2) możliwe ograniczenie sił zbrojnych, których posiadanie daje nieodpowiedzialnym czynnikom łatwość rzućcia ich na szalę jako swego ostatecznego argumentu.

Dążenie do usuwania przyczyn wojny jest akcją całkowicie realną, mogącą dać pozytywne rezultaty. Wymaga to tylko odpowiedniej atmosfery, czyli wyraźnej woli zachowania pokoju oraz wzajemnych kontaktów, rozmów i rokowań, zmierzających do uregulowania spraw spornych, które istnieją w obecnych warunkach społecznych, gospodarczych i politycznych świata i które powstają bądź tak długo, jak długo nie nastąpi powszechny tryumf nowych zasad współżycia i współpracy ludzi na ziemi. Konkurencja ustrojów socjalistycznych i kapitalistycznych powodować musi, siłą rzeczy, powstawanie pewnej płaszczyzny tarć, lecz wbrew twierdzeniom wrogów obozu pokoju i demokracji wszyscy odpowiedzialni reprezentanci ideologii marksistowskiej twierdzą i twierdzą zawsze, że konkurencja taka jest możliwa w atmosferze pokojowej oraz, że wszystkie konflikty i zagadnienia sporne mogą być załatwione drogą rokowań.

Tak samo załatwiony być może problem rozbrojenia. Ma on dwa ważne aspekty. Z jednej strony zmniejszenie aparatu wojennego, a więc odsunięcie groźby agresji i zwiększenie powszechnego bezpieczeństwa. Z drugiej strony danie możliwości użytkowania ogromnych sum przeznaczonych na wysięg zbrojeń (w znaczeniu bardziej szerokim, obejmującym również konieczność zwiększenia swego potencjału obronnego przez zagrożenie, pokój miłujące narody), na pracę pokojową, na podnoszenie dobrobytu szerokich mas ludności. Stąd ogromna rola i znaczenie problemu powszechnego rozbrojenia.

Zrozumienie tych spraw, dla większości z nas prostych i jasnych, toruje sobie coraz szerszą drogę do świadomości kół, które wskutek niewyrobienia politycznego, lub ulegania wpływom propagandy imperialistycznej, nie zdawały sobie dotychczas należycie sprawy z groźącym niebezpieczeństwem oraz możliwością i środkami jego zwalczania. Po wstrząsających przeżyciach drugiej wojny światowej wielu ludzi wierzyło, że katastrofa taka powtórzyć się nie może.

Rzeczywistość obalila tę euforię. Powojenna polityka agresywnych kół amerykańskich doprowadziła do powstania bloków wojennych, do gwałtownych zbrojeń obozu atlantyckiego, do remilitaryzacji Niemiec zachodnich, jako oddziały szturmowego „koalicji antykomunistycznej”. Po krótkim okresie wojennego uspokojenia, i to uspokojenia raczej pozornego, gdyż by-

strzejsi obserwatorzy mogli dostrzec początki tej nowej polityki wojennej już w końcowym etapie ostatniego konfliktu światowego, nastąpił okres „zimnej wojny”, opartej na straszeniu użyciem bomb atomowej czy wodorowej. Celem i świadomie inspirowanej tej polityki przecinali stopniowo wszystkie nici kontaktów między „Zachodem” i „Wschodem”, deklarując przy tym obłudnie o „nierozwiązalnych antagonizmach”, i o „niemożności dojścia do porozumienia”.

Koła agresywne dążyły wyraźnie do zaognienia sytuacji światowej. Aż do 13 roku napięcie w sytuacji międzynarodowej wzrastało stale, aż wreszcie prowadzona z niezłomną wolą pokojową polityka Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej oraz żywiołowej szczytacy się ruch obrońców pokoju na całym świecie zaczęły dawać wyraźne rezultaty. Nastąpił przełom na rzecz konieczności szukania dróg pokojowych rozwiązań.

Nie oznacza to bynajmniej, aby koła imperialistyczne zrezygnowały ze swych agresywnych celów politycznych. Jednakże dwa czynniki przyczyniły się do zmiany przez nich taktyki, do zmuszenia ich, aby wyrzekły się szumnym dawniej glo-

SZYMON DEREŃ

szoną zasady: „żadnych rokowań ze Wschodem”. Pierwszy — to przekonanie się o złudności rachub na rozkład obozu pokoju i demokracji od wewnątrz, to zetknięcie się z zmanifestowaną wyraźnie złością i gotowością obronną tego obozu, wyrażoną w Układach Warszawskich, to świadomość potęgi militarnej Związku Radzieckiego, który dysponuje dziś najbardziej nowoczesną bronią i przodującym lotnictwem, co po ostatniej rewii w Tuszyno przynajmniej cała prasa zachodnia. Drugi — to konieczność liczenia się z nastrojami własnej opinii publicznej, która wielokrotnie zaznacza wyraźnie, iż jest przeciwna wszelkim awanturom wojennym i domaga się pokojowego regulowania spornych zagadnień międzynarodowych.

Do przeciwnego obywatela amerykańskiego nie trafiają bynajmniej argumenty demagogicznej kampanii o „zagrożeniu komunistycznym”. Im bardziej straszy się go potęgą radziecką, tym bardziej dochodzi on do przekonania, że „trzeba dogadać się z nimi”. Poza tym rząd amerykański musi się coraz bardziej liczyć z sytuacją wew-

nętrzną w krajach swych europejskich partnerów. Cóż z tego, że tamtejsze rządy, po różnych targach i oporach, ulegają zwykle ostatecznie woli Waszyngtonu, gdy nawet poważne kółka burżuazyjne i drobniomieszczańskie Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, a ostatnio coraz wyraźniej i Niemiec zachodnich protestują ze zwiększoną gwałtownością przeciwko polityce, która jest sprzeczna z interesem narodowym tych krajów i żądają niezbędnej dla nich współpracy ze „Wschodem”.

Widmo niebezpieczeństwa nowego konfliktu zbrojnego, które tak wyraźnie wystąpiło w czasach największego napięcia „zimnej wojny”, wstrząsnęło tamtejszymi społeczeństwami i przekonało je, że trzeba szukać sposobów odprężenia międzynarodowego przez bezpośrednie rokowania, które by przyniosły jakiegoś bezpieczeństwa zbiorowe i przynajmniej częściowe rozbrojenie. Cała polityka światowa w roku 1955 stoi pod znakiem nacisku społeczeństw na swe rządy, aby nie odrzucały możliwości pokojowej współpracy międzynarodowej. Stworzyło to warunki dla przyjęcia pro-

pozycji radzieckich o rozmowach czterech wielkich mocarstw na szczeblu najwyższym.

NIE jest rzeczą przypadkową, że spotkanie genewskie poprzedzone zostało przez Światowy Kongres Pokoju w Helsinkach. To sukcesy ogólnoswiatowego ruchu obrońców pokoju, do którego poza masami ludowymi przylągają się w ostatnich czasach coraz liczniejsi przedstawiciele patriotycznej burżuazji spowodowały, że rządy trzech mocarstw zachodnich musiały się zgodzić na przedyskutowanie ze Związkiem Radzieckim, jako czynnikiem reprezentantem obozu pokoju i demokracji, zagadnień, których rozwiązanie jest sprawą palącą dla uzyskania odprężenia w sytuacji międzynarodowej.

Obróbcy pokoju nie ograniczają jednak do tego swych zadań. Pragnęli oni sformułować publicznie, pod adresem społeczeństw i rządów, w jakim kierunku powinny iść obrady Wielkiej Czwórki, jeżeli mają one spełnić nadzieje pokładane w nich przez pokojową ludzką.

Kongres w Helsinkach był przekonującym dowodem kampanii, która twierdziła, że światowy ruch obrońców

pokoju jest wyrazem tylko jednej partii, tylko jednej ideologii. Reprezentowane na nim były różne światopoglądy i bardzo liczne stronnictwa polityczne, społecznie nieraz wręcz konserwatywne. Znaleźli się tam reprezentanci gaulistów i radykałów francuskich, chadeków włoskich, labourystów brytyjskich, liberałów zachodniemieckich itd. Brali w nim udział ludzie różnych religii oraz wszelkiego typu bezpartyjni działacze i intelektualisci, stojący często jak najdalej od socjalizmu i komunizmu.

Łączyła ich jednak wszystkich wspólna troska o zapobieżenie niebezpieczeństwu nowej wojny, o ugruntowanie pokojowej współpracy międzynarodowej. Stąd uchwały powzięte przez Kongres w Helsinkach miały charakter ogólny i często kompromisowy. Zawierały one jedynie podstawowe zasady, których należy się trzymać dla uzyskania odprężenia międzynarodowego i pokojowego załatwienia zagadnień spornych.

Zasady te odpowiadają wskazanym na wstępie niniejszych uwag liniom przewodnim. Uchwały Kongresu w Helsinkach wysuwają na plan pierwszy konieczność współpracy poszczególnych państw w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i kulturalnej, na podstawie równouprawnienia oraz poszanowania granic i suwerenności nacji, bez względu na różnice ustrojów społeczno-gospodarczych. Jest to najpewniejsza droga do usuwania istniejących, bądź mogących powstać trudności. Drugim, również ważnym problemem programowym jest rozbrojenie oraz usunięcie broni masowej zagłady. Wiąże się z tym bezpośrednio sprawa stworzenia systemu bezpieczeństwa zbiorowego, którego zaistnienie stanowić musi punkt wyjścia dla rozwiązania tak istotnego dla przyszłości Europy problemu Niemiec w drodze ich demokratycznego zjednoczenia. Wreszcie Organizacja Narodów Zjednoczonych powinna spełniać wyznaczoną przez jej twórców rolę strażnika pokoju i współpracy międzynarodowej, lecz będzie to możliwe tylko przy upowszechnieniu, tylko przy przyjęciu w jej skład jednego z największych dzieł mocarstw światowych — Chińskiej Republiki Ludowej.

Program zawarty w uchwałach helsińskich może połączyć wszystkich ludzi dobrej woli, bez względu na różnice światopoglądowe. Gdyby konferencja genewska doprowadziła do utworzenia drogi dla realizacji tego programu, wywołałoby to entuzjazm całej pragnącej pokoju ludzkości. Wiemy jednak, że tak łatwo sprawa nie pójdzie, gdyż przedstawiciele Związku Radzieckiego, broniący takich właśnie zasad, zaskądnią przy wspólnym stole w Genewie z politykami nie rezygnującymi z kalkiem innych celów i pragnącymi nadal narzucać swą wolę „z pozycji siły”. Nie zapominajmy, że zwłaszcza dyplomacja amerykańska wzięła udział w spotkaniu genewskim tylko ze względów taktycznych, zmuszona sytuacją ogólną; każdy więc punkt poruszanych zagadnień wymagać będzie wyjątkowej walki.

Dlatego, realnie patrząc, pomyślny już będzie każdy konkretny krok konferencji genewskiej w kierunku dalszego osłabienia napięcia w sytuacji światowej i ugruntowania zasad wzajemnej pokojowej współpracy poszczególnych państw. Pozytywną rzeczą będzie każde zbliżenie się do konstruktywnego rozwiązywania problemów rozbrojenia, bezpieczeństwa, zjednoczenia Niemiec i przywrócenia Chińskiej Republice Ludowej należnego jej miejsca w organizacjach międzynarodowych.

Nikt bardziej niż społeczeństwo polskie nie pragnie takich właśnie rezultatów obrad genewskich. Mamy już na szczęście za sobą oplakane czasy „dwóch wrogów”, izolacji politycznej, beznadziejnej sytuacji gospodarczej, zdanej na łaskę egoistycznych poczynań obcego kapitału. Przyjaźń i sojusz ze Związkiem Radzieckim, definitywne uregulowanie granic i przyjazna współpraca z demokratycznymi Niemcami dają nam możliwość pokojowego poświęcenia się sprawom przebudowy i rozbudowy wewnętrznej. Ale istnieją jeszcze na arenie międzynarodowej siły, które chciałyby zawrócić nas z tej drogi i kwestionują nasze granice zachodnie. Wiemy, że w oparciu o oboz pokoju i demokracji prawa nasze są chronione, lecz wraz z naszymi sojusznikami jesteśmy zainteresowani, aby wzmacniła się współpraca międzynarodowa, aby usuwane były możliwości nowej wojny, aby cały zjednoczony naród niemiecki stał się czynnikiem pokoju w Europie.

Dlatego śledzimy z najwyższym zainteresowaniem przebieg obrad w Genewie, spodziewając się razem z całą pokojową ludzkością, że przyniosą one rezultaty odpowiadające kierunkowi wyznaczonemu przez ostatni Światowy Kongres Pokoju w Helsinkach.

Szymon Dereń

UMBERTO ZAPPULLI

Nadzieja zgody i braterstwa

OD REDAKCJI

Na Światowym Zgromadzeniu Sił Pokoju w Helsinkach, po raz pierwszy wspólnie z działaczami Ruchu Pokoju obradowali przedstawiciele chrześcijańskiej demokracji włoskiej. Poniżej drukujemy z niewielkimi skrótami dłuższe przemówienie wygłoszone przez Umberto Zappulliego, wybitnego działacza młodzieżowego. Zappulliego, którego wystąpienie zostało bardzo serdecznie i poważnie przyjęte, reprezentuje postępowy nurt chadecki włoskiej. Szereg wyrażonych przez niego poglądów, zwłaszcza zaś niekonsekwentna koncepcja jedności europejskiej nie mogłyby uzyskać całkowitej afirmacji z naszej strony. Z drugiej jednak strony nawet te różnice wydatniają autentyczność i szczerść dialogu, który Zappulliego proponuje. Konieczność takiego dialogu między chrześcijaństwem a światem rewolucyjno proletariackiej jest jednym z najważniejszych postulatów naszego czasu, czasu niosącego alternatywę zniszczenia lub ocalenia wielowiekowego dorobku ludzkiej cywilizacji. Dlatego, jakkolwiek ruch społecznie postępowy katolików polskich dopracował się znacznie precyzyjniejszej diagnozy dotyczącej udziału chrześcijaństwa w walce o pokój i doskonałszy przekształcanie świata — głos Umberto Zappulliego odnotowujemy z dużą radością, jako istotny wkład w szlachetne zmagania o porozumienie i twórcze współistnienie narodów.

Panie Przewodniczący, Przyjaciele zebrani na Światowym Zgromadzeniu Przedstawicieli Sił Pokoju,

Muszę wyznać, że długo się wahałem, zanim zdecydowałem się zabrać głos przed tak wielkim Zgromadzeniem, aby wyrazić swoje poglądy na problemy, nad którymi pracujemy. Biorę udział w Zgromadzeniu w charakterze obserwatora i z pobudek osobistych, należę bowiem do ugrupowania politycznego, wysuwającego przez długi czas poważne zastrzeżenia co do stanowiska Ruchu Pokoju, który — słusze czy niesłusze — wydawał się często wielu z nas zbyt ściśle związany z polityką jednego z dwóch bloków, dzielących dzisiaj świat między sobą panowanie nad światem.

Jeśli zdecydowałem się jednak zabrać głos w dyskusji, to uczyniłem to dlatego, że, zdaniem moim, czas już zaniechać dawnych nieporozumień i nawiązać pożyteczne i pełne obopólnego zrozumienia rozmowy pomiędzy tymi wszystkimi, którzy, pomimo dzielącej ich różnicy światopoglądów, tak samo w głębi duszy pragną pokoju i przywrócenia jedności powąnsionego dzisiaj świata.

Wychodząc z tego założenia sądzę, że wolno mi wyrazić pogląd, który jest nie tylko moim poglądem osobistym, lecz również i zdaniem wielkiej ilości katolików włoskich. Świąt katolicki pragnie bowiem gorąco pokoju i żywo odczuwa konieczność zniesienia muru nienawiści i nieporozumień, rozdzielającego dotąd narody świata.

W bieżącym tygodniu odbyło się we Włoszech spotkanie pod hasłem Pokoju i Cywilizacji Chrześcijańskiej, zorganizowane przez wielkiego katolika, burmistrza Florencji, Giorgio La Pira. Wzięli w nim udział przedstawiciele 53 narodów. Celem tego spotkania było znalezienie w tradycji chrześcijańskiej i w religijnej koncepcji życia podstaw ustroju, mogącego zapewnić ludzkości pokojową i postępową przyszłość, do budowania której powinni być powołani wszyscy ludzie bez wyjątku. Dyskryminacja są dzisiaj bowiem jedną z największych przeszkód w rozwoju historii.

Fakt ten świadczy o tym, że pomiędzy naszym Zgromadzeniem a zorganizowanym przez katolików włoskich spotkaniem we Florencji istnieje więź ideologiczna, czemu nikt nie może zaprzeczyć; zarówno tu jak i tam są ludzie szczerze walczący o pokój, dlatego też należy pragnąć, aby wysiłki ich zostały zrozumiane i w jak najszybszym czasie osiągnięły pozytywne i konkretne rezultaty.

Zresztą, było to również pragnieniem organizatora spotkania, burmistrza Florencji, który w przytoczonym już tutaj przez senatora Séréniego wywiadzie, udzielonym przed kilku dniami dziennikowi „Prawda”, wyraził się bardzo pochlebnie o Zgromadzeniu w Helsinkach i wypowiedział życzenie ściślej jeszcze współpracy pomiędzy wszystkimi zwolennikami pokoju. Z tego też względu wydaje mi się, że należy zwrócić uwagę naszego Zgromadzenia na pewną okoliczność, o której jest zbyt często i zbyt łatwo zapomina, a mianowicie na fakt, że sprawa pokoju może znaleźć dzisiaj w świecie katolickim bogate i cenne źródła energii konstruktywnej. Czyż nie tę właśnie ideę wskazał Ojciec św. Pius XII w swym ostatnim „Bożonarodzeniowym orędziu jako cel działalności wszystkich katolików?

Orędzie to stanowi bardzo poważne świadectwo, o którym należy tu przypomnieć. Albowiem polityka dzieląca świat na dwa przeciwne sobie bloki wojskowe i oparta na poszukiwaniu pozycji siły oraz na rozgranieniu kontynentów na sfery wpływów jest w nim potępiona, natomiast polityka nowa, oparta na zasadach współistnienia i współpracy między narodami, jest zalecana. Jednakże, jest tu jeszcze i coś więcej — orędzie Ojca św. stwierdza zupełnie wyraźnie, że współistnienie mechaniczne i podyktowane obopólną obawą nie może być uważane za dostateczną gwarancję prawdziwego i trwałego pokoju. Ograniczenie się do utrwalenia istniejącego w tej chwili podziału równa się odsunięciu, lecz nie wykluczeniu niebezpieczeństwa przyszłej wojny, należy, przeciwnie, nawiązać ponow-

nie łączność duchową, która przywróciłaby kontakt pomiędzy światem wschodnim i zachodnim. Należy również rozpocząć rozmowy, które drogą wzajemnej wymiany doświadczeń teoretycznych i praktycznych zmierzaliby do usunięcia wszelkich uprzedzeń i do otworzenia społeczeństwu ludzkiemu nowych możliwości, w których byłoby miejsce zarówno dla nowych wartości wnoszonych przez cywilizację proletariacką, jak i dla wartości duchowych tradycji chrześcijańskiej. Wewnątrz świata chrześcijańskiego wznoszą się nieustannie zastępy ludzi dążących do tego celu i mam wrażenie, że te potężne siły będą mogły przyczynić się poważnie do odprężenia atmosfery międzynarodowej (...)

Co spowodowało bankructwo polityki europejskiej i jej nieudane tworzenie, to jest EWO? Wydaje mi się, że przyczyny tego bankructwa mogą tu być pokrótce wyjaśnione. Przede wszystkim, pod wpływem ostrej rywalizacji pomiędzy blokiem zachodnim a wschodnim i pod naciskiem gwałtownej dyskryminacji antykomunistycznej, polityka europejska rządów zachodnich podporządkowała się w sposób bezkrytyczny i mechaniczny dyktelowi amerykańskiemu. W ten sposób pozbawiono Europę możliwości odegrania roli autonomicznej i czynnej mediatora, a tym samym znikło to, co było najbliższe w nadziejach wiązanych ze zjednoczeniem Europy. Pomyśl Europy zjednoczonej stracił wszelki urok dla mas i wywołał nawet bardzo nieprzychylnie i ostre reakcje wśród ludności, tym bardziej, że proces zjednoczenia rozpoczął się od awantury traktatu, który, przewidując utworzenie instytucji o charakterze politycznym, był jednak wyraźnie wojskowy i ujawniał coraz silniejszą interwencję Stanów Zjednoczonych w życie kontynentu.

Co więcej, zwolennicy Unii Europejskiej popelnili fatalny błąd, nie dostrzegając, że problemy Europy nie mogą być ograniczone do problemu sześciu państw, które zgodnie z traktatem miały utworzyć EWO; dlatego też utworzyli oni sztuczny twór, który był tym groźniejszy, że stawał się z natury rzeczy zatwierdzeniem podziału Niemiec oraz utrzymaniem bardzo poważnego ogniska nieporozumień międzynarodowych.

Wreszcie, twórcy tego rodzaju polityki nie mogli nigdy zrozumieć, że osiągnięcie istotnej jedności w Europie będzie niemożliwością, jeśli jednocześnie nie rozwiązy się problem dotychczasowego rozwoju, lub zmiany rozmaitych ustrojów państwowych. Czyż można przypuszczać, że ustroje kapitalistyczne rozmaitych państw mogą się utrzymać obok siebie w Zjednoczonej Europie?

... Nie ulega wątpliwości, że obecna sytuacja europejska nie zaspokaja najbardziej istotnych żądań świata katolickiego; jest to tym niebezpieczniejsze, że krajom katolickim grozi zupełne odsunięcie od polityki światowej, lub ściśle uzależnienie od kontroli amerykańskiej. Z tego więc względu świat katolicki z wznoszącą codziennie niecierpliwością oczekuje nowej polityki, która wyraziłaby jak najpełniej jego pragnienie pokoju. Na płaszczyźnie światowej polityka ta po-

winna przynieść czynny udział w sprawie odprężenia i pokoju na płaszczyźnie europejskiej zaś wkroczenie na drogę wodzącą bardziej bezpośrednio do zbudowania jedności kontynentu.

Jeśli rządy państw zainteresowanych potrafią spełnić te żądania należy przypuszczać, że siły, które w masach katolickich dążą do odprężenia, otrzymując będą coraz większe poparcie i przelamią opory sprawiające, że dzisiaj w bardzo wielu jeszcze wypadkach partie katolickie upierają się przy polityce utrzymania burżuazyjnego ustroju w państwie. Zobaczymy ponownie, jak się obiektywne przyczyny tych oporów.

Sądzę, że na zakończenie tej połącznej analizy mogę stwierdzić, iż byłoby poważnym błędem, gdyby przy rozpatrywaniu zawsze spornych problemów europejskich, a w szczególności problemu niemieckiego, nie wzięto pod uwagę konieczności dania kontynentowi układu, mogącego zapewnić stopniowe zbliżenie pomiędzy narodami oraz uniknięcie nowych rywalizacji pomiędzy państwami. Żądają tego nie tylko katolicy, lecz również i wielu innych obywateli państw europejskich. Wydaje mi się więc potrzebne podkreślenie znaczenia, jakie mogą mieć projekty rozmaitych czynników, dotyczące opracowania planu europejskiego bezpieczeństwa ogólnego, które nie ogranicza się do krajów Europy Karolingów, ani do krajów należących do Paktu Atlantycznego, lecz rozciąga się również i na państwa Europy Wschodniej. (...)

Wydaje mi się rzeczą słuszną wspomnieć na zakończenie o kilku problemach, niepokojących sumienie świata katolickiego i wytłumaczyć w ten sposób zastrzeżenia katolików w stosunku do stanowiska zajętego przez Ruch Pokoju.

Jeśli dzisiaj jeszcze zwolennicy odprężenia i porozumienia pomiędzy wschodnim i zachodnim światem w wielkiej trudności, to dzieje się tak nie tylko dlatego, że wciąż trwają jeszcze uprzedzenia niewątpliwie negatywne, lecz również i wskutek pewnych sytuacji poszczególnych, którym nikt nie może zaprzeczyć charakteru niepokojącego. Z tego względu wydaje mi się rzeczą słuszną zwrócić się do przedstawicieli tych państw z jasno sprecyzowanym pytaniem: Czy nie uważacie, że jest coś do zrewidowania w dotychczasowej polityce dotyczącej problemów Kościoła katolickiego?

Ufam również, że ze swej strony katolicy potrafią się pozbry swych niedorzecznych uprzedzeń i uznać w pełni wielkie wartości pozytywne ruchu proletariackiego, nad czym — mogę was zapewnić — pracuje usilnie wielu naszych przyjaceli.

Nie zostałem przez nikogo upoważniony, lecz słowa moje są słowami katolika, który czuje, że w świecie, nękanym przez wojnę i nienawiść, wytwarza się sytuacja, w której powstać może prawdziwa zgoda i braterstwo, sytuacja, na którą z nadzieją i niepokojem spoglądają wszyscy katolicy i wszyscy prawdziwi demokraci.

WŚRÓD LUDZI I PAWILONÓW

Uchwała Prezydium GKK przy ZBoWiD o rozwiązaniu Kom'jsji Księży przy ZBoWiD

W dniu 12 lipca 1955 r. odbyło się w Warszawie posiedzenie Prezydium Głównej Komisji Księży przy ZBoWiD przy współudziale przewodniczących i sekretarzy Okręgowych Komisji Księży. Na posiedzeniu powzięto uchwałę o rozwiązaniu Komisji Księży przy ZBoWiD. W przyjętym na posiedzeniu oświadczeniu czytamy m. in.:

„Prezydium Głównej Komisji Księży przy ZBoWiD na posiedzeniu odbytym w Warszawie dnia 12 lipca 1955 r. przy współudziale przewodniczących i sekretarzy Okręgowych Komisji Księży biorąc pod uwagę powszechną dążność swych członków do zjednoczenia katolickiego ruchu społecznie postępowego postanawia rozwiązać Komisję Księży przy ZBoWiD i włączyć wszystkie swe siły do Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego, aby tym skuteczniej służyć sprawie Kościoła katolickiego i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...

...W ciągu ostatnich dwu lat wzrosły wybitnie siła i zasięg oddziaływania katolickiej myśli społecznie postępowej dzięki

Posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego

W dniu 12 lipca 1955 r. w Warszawie odbyło się posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego, przy współudziale przewodniczących i sekretarzy Komisji Wojewódzkich oraz zaproszonych duchownych i świeckich działaczy katolickich. Na posiedzeniu — poświęconym zjednoczeniu ruchu społecznie postępowego katolików w Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego — przyjęto do wiadomości uchwałę GKK przy ZBoWiD.

W oświadczeniu uchwalonym na posiedzeniu czytamy m. in.: „Prezydium Krajowej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego wita z wielkim zadowoleniem ostateczne zjednoczenie ruchu społecznie postępowego katolików polskich w ramach naszej Komisji... W ten sposób jeszcze skuteczniej będziemy mogli przyczynić się do realizacji

Zebranie Wojewódzkich Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego

W całym kraju odbywały się w dniach 14 — 20 lipca br. zebrania Wojewódzkich Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Na zebraniach wygłaszano i dyskutowano przedstawiony referat poświęcony pro-

powstaniu Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego, w której czynny udział wzięli aktywni członkowie Komisji Księży. Jesteśmy przekonani, że osiągnięcia te można wielokrotnie przy pełnym ujednoczeniu katolickiego ruchu społecznie postępowego, które dziś staje się faktem.

Siła obozu pokoju wzrasta z każdym dniem. Jednocześnie dążyć się zauważyć zaostrenie form walki ze strony ginącego świata kapitalistycznego. Nie ustają, ale przeciwnie, wzmożły się usiłowania wykorzystania uczuć religijnych ludzi wierzących dla rozbięcia obozu pokoju. Wzmógł się nacisk na katolickie organizacje postępowe w krajach zachodnich i w kraju. Zwolennicy krucjaty przeciwko Wschodowi wykorzystują swe wpływy wśród pewnych sfer kościelnych, dążąc do zlikwidowania odrodzeniowych procesów w katolicyzmie, zmierzających do budowania świata na zasadach sprawiedliwości i braterstwa. W tych warunkach decyzyjną rolę przyjął Prezydium GKK przy ZBoWiD o pełnym zjednoczeniu katolickiego ruchu społecznie postępowego w Polsce jest jedyną odpowiedzią podjętą w pełni stanowiskiem ideologicznym.

W bieżącym roku ilość państw i firm uczestniczących w Targach znacznie wzrosła. Fakt dość znamienny. W ciągu kilku minionych lat kupcy zachodnioeuropejscy zdążyli zapewne poznać „dobro-dziejstwa” jednostronnej wymiany handlowej i nic dziwnego, że w wielu wypadkach zdecydowali się na przyjęcie korzystnych propozycji państw wschodnioeuropejskich i Chin. Zjawisko to świadczy również, iż nieustannie wzrastają siły pokoju. Pomyślna wymiana handlowa, tak nieodzowna dla życia każdego narodu, może rozwijać się w sposób normalny jedynie w warunkach zmniejszenia napięcia międzynarodowego. Kryzys wzrostu sił pokoju, od czasu ostatnich Targów, to jest od 1949 roku, znacznie podniosła się.

NA Targach eksponatów nie kupuje się. Przeciętny widz, nie-kupiec, interesuje się, poza maszynami i urządzeniami technicznymi, zwłaszcza przedmiotami, których wykonanie cechuje duży artystyczny. Tak na przykład w stoisku Wietnamu zwracają uwagę ręcznie wykonane buty ze skóry weża na grubej podszewce kauczukowej. Skóra wierzchnia nosi ślady świeżego wyprawienia. Oglądając to dzieło pracy ludzkiej — odnosi się wrażenie, że dopiero przed chwilą umieścił je rzemieślnik w gablocie. Nastroj tu prawie niezwykły: inne barwy, a w powietrzu unosi się nieznaną siłą — duszny zapach owoców wschodnich. Dźwięki egzotycznego języka rozmawiających w pobliżu Wietnamczyków

(Dokończenie ze str. 1)
Mówi też, że jesteśmy jedną z pierwszych potęg przemysłowych Europy.

W bieżącym roku ilość państw i firm uczestniczących w Targach znacznie wzrosła. Fakt dość znamienny. W ciągu kilku minionych lat kupcy zachodnioeuropejscy zdążyli zapewne poznać „dobro-dziejstwa” jednostronnej wymiany handlowej i nic dziwnego, że w wielu wypadkach zdecydowali się na przyjęcie korzystnych propozycji państw wschodnioeuropejskich i Chin. Zjawisko to świadczy również, iż nieustannie wzrastają siły pokoju. Pomyślna wymiana handlowa, tak nieodzowna dla życia każdego narodu, może rozwijać się w sposób normalny jedynie w warunkach zmniejszenia napięcia międzynarodowego. Kryzys wzrostu sił pokoju, od czasu ostatnich Targów, to jest od 1949 roku, znacznie podniosła się.

W bieżącym roku ilość państw i firm uczestniczących w Targach znacznie wzrosła. Fakt dość znamienny. W ciągu kilku minionych lat kupcy zachodnioeuropejscy zdążyli zapewne poznać „dobro-dziejstwa” jednostronnej wymiany handlowej i nic dziwnego, że w wielu wypadkach zdecydowali się na przyjęcie korzystnych propozycji państw wschodnioeuropejskich i Chin. Zjawisko to świadczy również, iż nieustannie wzrastają siły pokoju. Pomyślna wymiana handlowa, tak nieodzowna dla życia każdego narodu, może rozwijać się w sposób normalny jedynie w warunkach zmniejszenia napięcia międzynarodowego. Kryzys wzrostu sił pokoju, od czasu ostatnich Targów, to jest od 1949 roku, znacznie podniosła się.

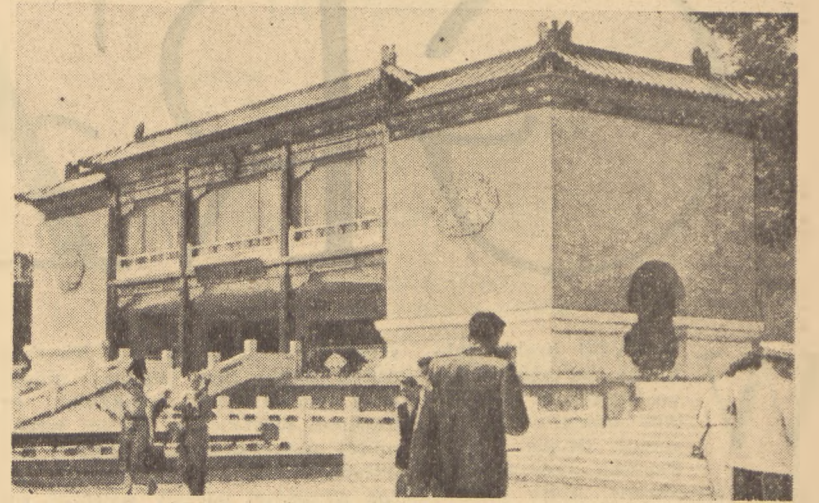
Wskazując palcem suszone i pozabawione wewnętrznej muszli małży. Wietnamczyk jest wyraźnie zakłopotany. — No jak? — dopytuję się. — Smażycie? Gotujecie? Robicie zupę? — Hm. Monsieur, ja... ja... przykro mi, ale nie mogę panu powiedzieć. Ja nigdy w życiu nie jadłem jeszcze tych zwierząt. — Widać, iż jest bardzo zasmucony, że nie może mnie objaśnić. Tak, ten student wietnamski nie jadł ani wystawionych tutaj ptaków, ani małży, ani... — A to co to takiego? — pytam wskazując nanieżone na sznurku mizym suszone grzyby nie to placuszki, ni jakiegoś krąki. — O, to — powiada mój Wietnamczyk — to nie ma nawet swej nazwy w języku francuskim. My nazywamy to zwierzę zwierzeciem o osmiu dziurach. Zwierzę, które nie ma nazwy w

sprawiają, że coraz bardziej oddalam się od rzeczywistości. Przywracając mnie do niej dopiero słowa jakiejś piosenki nadawanej przez głośnik.

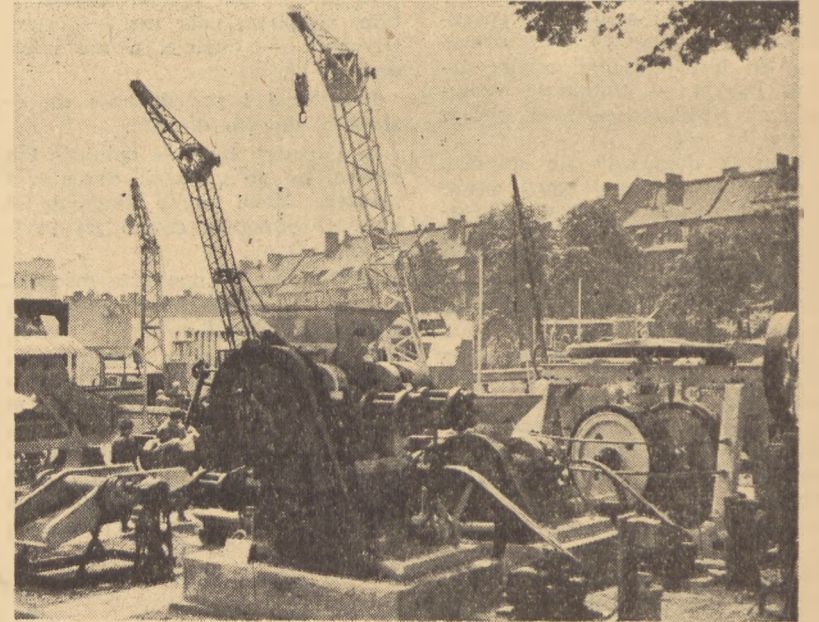
Powracam do Europy. Podziwiam stoisko NRD. Szybkie, piętrowe pociągi elektryczne, maszyny rolnicze, wyroby przemysłu chemicznego i wspaniałe wydawnictwa książek, jakich, niestety, u nas nie widzimy. Z NRD blisko już do Francji. W pawilonie francuskim piękne liońskie jedwabie. Stoisko obsługuje dwóch „Rastignaców”, którzy na pewno potrafią ocenić gusty klientów, dopomóc w wyborze materiałów. Gabloty z perfumami Chanela, stoisko z książkami drukowanymi na pięknym papierze.

W głównym budynku Targów ożywiony ruch. Kupcy składają sobie wizyty, oferują towary „fob”, „cif”, „franco-granica”; na podstawie clearingu, umów kompensacyjnych itd. Wspólnie interesów łączy ludzkie egoizmy. Kupcy są tymi, którzy przenoszą, za odpłatą, kulturę materialną narodów. Temu zresztą celowi powinna również służyć właściwie pojęta wymiana. Wymiana dóbr nie ogranicza się bowiem wyłącznie do „materii”; zakres działania jej praw rozciąga się również na wartości kultury. Kraje socjalistyczne głosząc ideę współpracy dążą właśnie do takiej podwójnej wymiany. Może ona utrwalić pokojową koegzystencję, zapobieże wojnie.

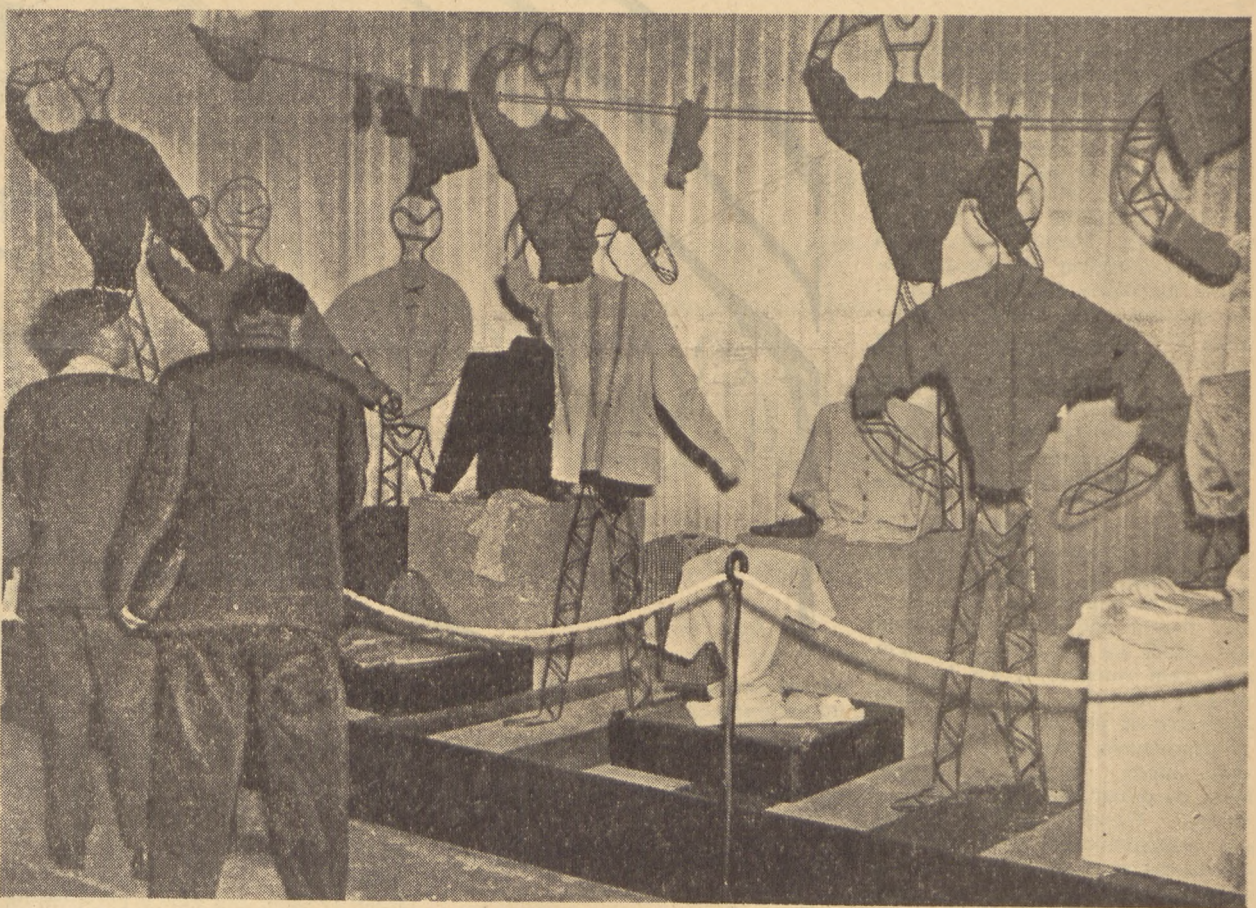
Zdzisław Umiński



Pawilon Chińskiej Republiki Ludowej, utrzymany w stylu pałacu chińskiego.



Duma naszej gospodarki narodowej — eksponaty przemysłu maszynowego



Stoisko, które wzbudziło zachwyt gości francuskich

UP!
— Co to takiego? Nic. Po prostu ustawiłam łóżko na prawo, a tam okazało się, że stoi ściana. Z tego łóżka schodzi się na lewo. Czy przestawiłem swoje łóżko? Nie. Moje łóżko stoi jak stało. Tylko po prostu nie jestem u siebie w domu. Przyjechałem do Poznania na Targi w roli reportera. Tak, teraz dopiero przychodzi do siebie po mocnym śnie. Poznań, który widzę przez okna mego pokoju, prezentuje się nisko, ale przyjemnie. Willowa dzielnica, w której jednym spojrzeniem odróżnić można domki stawiane przez Polaków i Niemców. Ten styl w architekturze przedmieszcza ma swoje ostro odcinające się cechy narodowe. Domki niemieckie mają spadziste dachy i małe okna, polskie — duże okna i płaskie dachy. Niemieckie przypominają bardziej domki wiejskie, polskie — wille w całym tego słowa znaczeniu.

Ogródki i domy, i ulice kąpią się w zieloności. No, ale dość okienkowania. Targi czekają. Tramwaj przywozi mnie pod poznańską iglicę, na której topocze polska flaga. Wokół iglicy usadawili się białe, świeżutkie i odnowione pawilony targowe. Za radość oględzin płaci się złotych 10, po czym naprzód! W tłum, kolorowy i rozkrzyczany, gęsty w przypadku wycieczek lub specjalnych atrakcji, przereźnony gdy mamy przed sobą gości „indywidualnych”.

Jeśli chodzi o Targi Poznańskie jestem zupełnie zadowolony. Bał w ogóle można powiedzieć, że pierwszy raz widzę na oczach stołeczki Wielkopolski. Toteż w reportażu tym nie znajduję się, niestety, żadne porównania z poprzednimi targami, czy nawet targami innych miast czy krajów. Swoją niekompetentność odczuwam od razu, patrząc na pierwszy polski eksponat: wielką kotwicę okrętową, wazującą

MAREK ANTONI WASILEWSKI

Truchtem przez Targi

ileś tam ton, wobec której stoję niby przed słoniem, czy nosorożcem, podziwiającej jej ciężar i masowość. Przemysł okrętowy prezentuje się wspaniale: dźwigi, modele drobnicowców, trawlerów, przeróżne akcesoria stoczniove... No tak, jesteśmy państwem morskim „całą gębą”. Można powiedzieć, że przemysł okrętowy staje się proporcjonalny do wybrzeża. Ten pierwszy pawilon daje dużo zadowolenia i dumy wewnętrznej, ale też nie kusi człowieka do wyciągnięcia portfela. Nikt jakoś nie ma ochoty zafundować sobie przekroju okrętu, ani kotwicy, bajecznie kolorowych tablic rozdzielczych, transformatorów, ani stalowych obrzymów o skomplikowanej aparaturze czy wreszcie wielorybiej wielkości śruby okrętowej. Fala ludzka wypycha mnie z pawilonu. Wpadam znów na słońce, aby rozdziawiwszy usta obejrzeć piętrowy wagon kolejowy produkcji NRD i utonął w pawilonie państw zagranicznych. Na pierwszy ogień idzie Bułgaria.

W „Bułgarii” zaczynają się już poważne pokusy. Wpływa na to wielka estetyka wnętrza oraz estetyka samego towaru. Wydaje mi się, że Bułgaria potrafiła „najładniej” ze wszystkich państw pokazać swoje możliwości eksportowe. Wina królują tu niepodzielnie, a obok nich piękne konserwy owocowe i warzywne, świeże pomarańcze, cytryny, jabłka stwarzają razem misterną mozaikę bizantyjską, zyskującą blask w dyskretnym i świetnie dobranym oświetleniu.

Dalej maszyny, wyroby skórzanego, tkaniny, futra i tytonie. Te ostatnie nie frajują mnie jako niepalący. Łapczywie natomiast patrzę na konfiturę z róż. Ba! Coż, trzeba obejść się smakiem. Aby poustrzymać słinkę siadam tyłem do konfitur w stoisku książki bułgarskiej i sięgam po gruby tom „Historia na Bułgarija”. Stanowi on połowę historii Bułgarii wydanej przez Bułgarską Akademię Nauk. Otwieram na chybilitraf i zaczynam czytać rozdział o feudalizmie tureckim w Bułgarii. Nie jest źle. Znać polski i rosyjski można sobie dać radę i z bułgarskim. Po pierwszej kartce przyzwyczajam się do nieco obcych końcówek. Ładne dzieło. Odkładam je na miejsce z takim samym żalem, z jakim żegnam ostatnim spojrzeniem różaną konfiturę i wracam na terytorium Albanii.

Tu więcej uznania niż zachwytu. Trzeba znać stosunki i dzieje Albanii, aby móc ocenić jej dorobek. Jak na możliwości tego państwa wielki, jak na nasze gusty i potrzeby, jeszcze daleko w tyle. Ale to i tak siedmiomilowy krok naprzód. Zdaje się, że jeszcze wczoraj Albania była najdalszym krajem Europy, rezerwatem minieo-go stulecia na Bałkanach. Mała Albania goni jednak Europę, jak usapaniały sprinter. Jej przemysł naftowy, tekstylny, mydlarski, obuwniczy i spożywczy rozwija się w... warszawskim tempie.

Dzień dobry Wietnamie! — powiadam sobie w stoisku wietnam-

Dosłownie dopadam bo wldzę za szybko książkę, której poszukuję od roku; Słownik arabsko-niemiecki.

— Entschuldigen Sie Fräulein — zaczynam swoje targi z młodą Niemką — czy w żadnym wypadku nie można kupić tego słownika?

— Nie! Można go jedynie zamówić przez „Dom Książki”. Kosztuje 57 marek.

— Tak — powiadam — tylko, że jeden z mych znajomych czeka na ten słownik od roku, a po drugie „Dom Książki” sprzedaje go za 160 złotych.

Niemka jest nieugięta. Tłumaczę jej, że trzeba „wariata”, aby potał się na słownik arabsko-niemiecki. Nic nie skutkuje.

— Nie sprzedaje się. Przez chwilę mam ochotę dogonić premiera Grotewohla i wylać przed nim swoje żale, ale dochozę do wniosku, że właściwie powinienem zalić się nie przed premierem Grotewohlem, a przed ministrem Dąbrowskim.

Zły jak osa przelatując stoisko francuskie, mijając szampańskie, perfumy, chemikalia i pomiedzy szwajcarskimi zegarkami, a amerykańskimi książkami przemysłowym kam się na dwór. Jeszcze chwilę tylko zatrzymuję się nad gnijącymi mi już bananami reklamującymi hamburską firmę importu owoców. Bananów kupić nie można, wobec czego psują się obok ananasów i pomarańczę. Wychodzę na dwór.

Uff! Gorąco. Siadam na ławce i odpoczywam, patrząc na wielkie niebosżęcze dźwigi, których konstrukcje dają się opierać o przyproszone chmurkami niebo.

Marek Antoni Wasilewski

Uff! Gorąco. Siadam na ławce i odpoczywam, patrząc na wielkie niebosżęcze dźwigi, których konstrukcje dają się opierać o przyproszone chmurkami niebo.

Marek Antoni Wasilewski

GRZEGORZ

WPARYŻU brakło tak-
sówek. Od czasu wej-
cia Niemców nie zdo-
lano jeszcze uruchomić
metra. Długie kolejki
Paryżan oczekiwały na
przyjazd autobusów, które kurso-
wały nieregularnie. Grzegorz omal
nie wpadł w nieobliczalną w swych
konsekwencjach awanturę z sier-
żantem Wehrmachtu o miejsce w
ogonku. Zatarł załagodził starszy
pan noszący mimo zakazów gubern-
atora baretki bojowych odznaczeń.
— To jest Grzegorz, wielki ar-
tysta Paryża — tłumaczył wzbur-
zonemu Niemcowi — musi być w
teatrze na czas.

Grzegorz doprawdy się spieszył.
Zegar w pobliskiej drogerii wska-
zywał, że zostało zaledwie kilkana-
ście minut na przybycie do Grand
Théâtre. Grzegorz był zły na sie-
bie. Nawet wtedy, gdy pił całą
noc, nie pozwalał sobie na spóź-
nienia.

Na szczęście do teatru nie było
daleko. Po kilku minutach, wysko-
czywszy z autokaru, wszedł, rozpy-
chając się nieco, do wielkiego gma-
chu, nad którym neonowa reklama
wielkimi literami krzychała jego
imię.

Serce zabolalo znowu. „Nie po-
winiemem pić. Doktor mówi, że nie
ma żartów z sercem” — myślił
Grzegorz. Wciągnął do płuc po-
wietrze wierząc, że to usmierza
ból. Wszedł w jaskrawość światła.
Jak zwykle przed siódmą, w hallu
tłoczyło się u kas kilkadziesiąt o-
sób.

„Grzegorz, Grzegorz” — prze-
biegło przez tłum. Kilku mężczyzn
pochyliło się w ukłonach. Obowią-
zująca, jeszcze przedwojenna mo-
da nakazywała paryskim bourgeois
znać osobliście Grzegorza. Znajom-
nością z wielkim aktorem impono-
wano kobietom. Serdeczność tego
powitania zmroziło kilka mundu-
row feldgrau. Niemcy szukali na
gwałt życzliwych dla okupantów
domów paryskiej finansjery. Grze-
gorz spochmurniał. Tylko uśmiechy
kobiet kwitowały uprzejmym, nie
przeznaczonym specjalnie dla ni-
kogo i nie obowiązującym uśmie-
chem. Nie chciał, by mówiono, że
Grzegorz kłania się volksdeutschom.
Oficerów niemieckich miął dumnie
z uniesioną wysoko piękną, siwieją-
cą głową.

Wbiegł za kulisy. Zegar wybił
siódmą. W Grzegorzu nie zostało
nic z następstw przepiętej nocy.
Wytrzymał zupełnie w momencie,
kiedy począł oddychać powietrzem
kulis. Szedł ku garderobie wąskim
korytarzem mieniącym się barwną
wystawą starych, niejednokrotnie
historycznych już plakatów.

Niezajomego dostrzegł dopiero
wtedy, kiedy wpadli na siebie.
Chciał go minąć, ale tamten nie us-
tępował. Wybuch gniewu zlagodo-
dziło wspomnienie opowiadanych
za kulisami spotkań z gestapo. Na-
leżało być grzecznym wobec na-
tarczywości nieznajomych.

Pan z policji? — spytał to-
nem, do którego przywykły już pa-
ryżanie przez miesiące okupacji.
— Alez skąd! — oburzył się mło-
dy człowiek.
— Jeśli nie z policji, to czego
pan szuka za kulisami teatru. Kto
pana wpuścił?

Niezajomego cofnął się przed na-
pastliwym naporem Grzegorza.
Spotkania spotkały się na moment
z sobą i wtedy Grzegorz zobaczył
po raz pierwszy piękne, błyszczące
rozgorączkowanie czy nieznajome-
go.

— Skąd ja go znam? Skąd? —
silili się mózg Grzegorza. — Teatr?
A może film? Aha! Pan mnie prosił
o protekcję w atelier — ucie-
szył się z przypomnienia nieznajome-
go. Ale ten zaprzeczył bezład-
nemu bełkotowi aktora zdecydowa-
nym ruchem głowy.
— Więc nie film? Szkoda. Ra-
dę ci, młodzieńcze, rzuć teatr dla
filmu.

Niezajomego szedł krok w krok
za Grzegorzem. Usiłował go za-
trzymać.
— Ja w sprawie bardzo ważnej.
Osobistej.

Grzegorz nie słuchał. Spieszył
się. Inspicjent też zauważył przy-
bycie Grzegorza i przynaglił do
pospiechu.
— Proszę przyjść podczas przer-
wy. Każę portierowi pana wpu-
ścić. Podał nieznajomemu dłoń i już
zapomniał o nim. Szedł grać. Nie
ważne stało się wszystko to, co nie
było teatrem.

scenę przy końcu odsony. Nie cha-
kteryzował się prawie nigdy.
Grał twarzą. Kilka pociągnięć o-
łówkiem wystarczało, by tej wspa-
niałej masce greckiego boga nadać
pożądany wyraz. Z trudem, ale co-
raz wyraźniej poczęły wtlaczać się
w mózg słowa tekstu. Po chwili
już spokojny, już pewny siebie
schodził ku scenie. Za dekoracją te-
atralną zobaczył dyrektora.
— Musieli mu już powiedzieć o
tym, że pilam całą noc — ocenił
Grzegorz. — Szpicel, a nie kole-
dzy.

Przystanął i przysłuchuje się o-
statnim słowom dialogu.
— Partaczy tekst — opinuje tak
głośno, by go usłyszeli dyrektor i
reżyser. Mówi to nie wiadomo o
kim: O Simonne, czy o jej part-
nerze.

— Partaczy — powtarza mściwie,
z naciskiem, i wchodzi wprost w
światło reflektora.

Na sali zafalowało niewypowie-
dzianym słowem: Grzegorz. Czł-
wieczek, że nikt nie nadchodził Grze-
gorza i żeby w razie wypadku natychmiast
alarmować lekarza.

— Zimna herbatka! Zimna! Chce-
cie zabić Grzegorza?
Chłopak chwytając szklankę i już
biegnie. Ma w wystraszonych oczach
pełno łez. Tak dużo jest smutku
w małym serduszkach chłopca, że



siadają mężczyźni w nie-francuskich
mundurach.

— Może to i lepiej, dowodził kie-
dyż zbyt czuły, jego zdaniem, ko-
legom Grzegorz. — Posłannictwem
kultury francuskiej jest podnosze-
nie poziomu sztuki na świecie.
Niech bosze uczyć się teatru w Pa-
ryżu.

Teraz Grzegorz nie myśli o tym,
co mówił młodszym aktorom. Ile-
kroć wychodzi na scenę, nie umie
myśleć inaczej, jak tylko tekstem
sztuki. Ma mózg i duszę granej
przez siebie postaci. Dziś na przy-
kład rozczula paryżanki głosem ko-
chającego młodą żonę starzejącego
się męża. Rzuci słowa tekstu wprost
w serce zasłuchanej widowni i wie,
że siłą swego talentu niepodzielnie
rządzi w teatrze.

— W porządku — uspokaja się re-
żyser. — Czy nie ma przesydy w
plotkach o tym, że ten człowiek pił
całą noc i że dzisiaj rano lekarz
ratował jego serce?

Wejście Grzegorza kończyły pier-
wszy akt źle zresztą napisanej sztu-
ki. Monolog był przydługi. Trzeba
było wielkiego artyzmu, by długim,
literackim zdaniem nadać życie i
moc Grzegorz potrafił doprowadzić
do artyzmu rolę starzejącego się, za-
kochanego bankiera. Wyślek, jaki
wkładał w słowa buntu i oskarże-
nia miotanego pod adresem zabor-
czej młodości, męczył aktora. Grze-
gorz natchemiasz po spuszczeniu
kurtyny zszedł ze sceny. Tam za
kotarą skądowano jego imię. Nie
miał się wyjść przed zasłonę po no-
wy huragan braw. Oklaski powoli
cichły. Za to serce stukalo nierów-
no. Już dawno nie czuł się tak źle.
Głowa miała wagę obłowiu. Wy-
schnięta krtań paliła.

— Czyżby katastrofa? — zatrwo-
żył się Grzegorz przypominając sło-
wa lekarza. Bał się tego słowa.
Chciał grać.
Wielkim wysiłkiem woli przela-
muje niemoc nóg. Są bardzo niepo-
słuszne i gną się w kolanach. Grze-
gorz każe im odmierzać równe kro-
ki. Ciężkie, chwiejące się głowie
każe unieść się ku górze.
— Tylko się nie dać. Aby tylko
zejść sprzed śledzących go uważnie
oczu kolegów. Wie, że taki na przy-
kład Darian, który dubluje jego rolę,
przez całą scenę nie spuszczał
z niego oczu. Grzegorz czuje, że ty-
lko za to spojzenie mógłby pobić
Dariana. Grzegorzowi zdaje się, że
to tylko zazdrośna o jego sławę cie-

kawość. Myli się. W oczach ludzi
teatru łatwo jest przeczytać prosty
i szczerzy smutek z powodu kończe-
nia się wielkiego aktora. Ale Grze-
gorz tego nie czuje. Idzie sztywny,
poważny, między szpalerem kole-
gów.

— Nie dać się. Aby tylko dojść
do garderoby — modli się w my-
ślach. Klamka wymyka mu się spod
palców, ale Grzegorz zwalcza i tę
złośliwość. — Odpocząć. Odpocząć —
wola rozdygotane serce.

Drugi akt rozpoczyna od podnie-
sienia kurtyny. Dziesięć minut od-
poczynku to doprawdy bardzo ma-
ło. Grzegorz jest dziś chory.

— Zwirowało serce — myśli
Grzegorz sięgając po szklankę z
herbatą i wali pięścią w stół.

— Goniec, bydlę przekięte! Gon-
cie!

Chłopiec staje w drzwiach. Czuwa
przed drzwiami z polecenia dyrekcyj.
Zebny nikt nie nadchodził Grze-
gorza i żeby w razie wypadku natychmiast
alarmować lekarza.

— Zimna herbatka! Zimna! Chce-
cie zabić Grzegorza?

Chłopak chwytając szklankę i już
biegnie. Ma w wystraszonych oczach
pełno łez. Tak dużo jest smutku
w małym serduszkach chłopca, że

zapomina o tym, że nie wolno pu-
szczać nikogo do garderoby Mistrza.
— Nie dbają o Grzegorza — skar-
ży się jak dziecko stary człowiek
i patrzy w lustro, które odbija po-
stulnie wspaniałe maski wielkich
ról Grzegorza. Artysta zapomina o
chorobie. Bawi się lustrem. Jest w
szkle maska Judasza, Skąpca, Me-
fista, Grunia. Ból głowy przypomina
mu na chwilę o tym, że zbyt ostro
zbeszał gońca, którego szczerze lu-
bi. Chce mu się bardzo pić.

— „Grzegorz jest chory. Nie dają
Grzegorzowi herbaty. Krzywdzą
wielkiego Grzegorza”.

Niezajomego staje tuż za nim.
Grzegorz widzi w lustrze odbicie
jego twarzy i porównuje ze swoim.
Te same duże, głębokie oczy. Podob-
ne wysokie czoło. Te dwie maski
różni tylko wiek.

— Aha — cieszy się zwycięstwem
zmęczonego mózgu nad mrokiem za-
pomnienia. — Mój „filmowiec”! Po-
mogie, Darian mówi nieprawdę, że
nie popieram młodzieży. Że nie da-
ję młodych Teatrowi. Napiszę list
do Atelier, Dam Francji aktora!

Niezajomego nie słucha tej gada-
niny i przerywa Grzegorzowi ma-
chnięciem ręki. Wie, że niełatwo
dostać się za kulisy i chce mówić
definitywnie z Grzegorzem.

— Czy ona pana kocha? — zaska-
kuje go pytaniem.
— Kto? Kto czy mnie kocha? —
dziwi się Grzegorz, a po chwili do-
daje z śmiesznością w wielkiego ak-
tora patosem. — Dużo kobiet twierdzi,
że kocha Grzegorza. Grzegorz jest
wielki.

— Simonne. Czy wtedy, kiedy w
drugim akcie mówi panu o swej
miłości, czy to jest prawda, czy
gra... Czy kobieta może tak grać nie
kochając...
— Simonne?
W oczach nieznajomego jest tyle
męki, tyle wielkiej miłości, że Grze-
gorz nie może nie odpowiedzieć. Nie
może, ale nie umie.

Po prostu na Simonne patrzył
zawsze tylko jako na aktorkę. Za-
stanawia się więc mozolnie nad sło-
wami odpowiedzi. Wbiegł goniec z
herbatą. Grzegorz uśmiecha się. Bie-
rzy go pod brodę, unosi twarz i pa-
trzy w niewyszczone od łez, ale już
szczęśliwie oczy chłopca.

— Kochasz teatr, mały? Wiem, że
kochasz. Będziesz grał u nas w te-
atrze. Chcesz?
Tamten odwraca się i biegnie ku
drzwiom cały jak promyk szczęścia.

W oczach Grzegorza, który patrzył
na niego z wielką miłością, że Grze-
gorz nie może nie odpowiedzieć. Nie
może, ale nie umie.

— Czyżby katastrofa? — zatrwo-
żył się Grzegorz przypominając sło-
wa lekarza. Bał się tego słowa.
Chciał grać.

Wielkim wysiłkiem woli przela-
muje niemoc nóg. Są bardzo niepo-
słuszne i gną się w kolanach. Grze-
gorz każe im odmierzać równe kro-
ki. Ciężkie, chwiejące się głowie
każe unieść się ku górze.

— Tylko się nie dać. Aby tylko
zejść sprzed śledzących go uważnie
oczu kolegów. Wie, że taki na przy-
kład Darian, który dubluje jego rolę,
przez całą scenę nie spuszczał
z niego oczu. Grzegorz czuje, że ty-
lko za to spojzenie mógłby pobić
Dariana. Grzegorzowi zdaje się, że
to tylko zazdrośna o jego sławę cie-

kawość. Myli się. W oczach ludzi
teatru łatwo jest przeczytać prosty
i szczerzy smutek z powodu kończe-
nia się wielkiego aktora. Ale Grze-
gorz tego nie czuje. Idzie sztywny,
poważny, między szpalerem kole-
gów.

oświadczenie koleżanki ironicznym
skrzywieniem ust. Teatralnym, wy-
uczonym podczas prób gestem za-
słania sobie twarz. Ruch ten wy-
konuje co wieczór, ale dziś chce
w ten sposób ukryć przykrość, jaką
wyrażdzyły mu słowa Simonne.

Uczucie przykrości wraca jeszcze
raz w momencie, kiedy stojąc przed
otwartą kurtyną trochę przydługo
trzyma swoje usta na palcach Si-
monne, zaglądając przymilnie w jej
oczy. Grzegorz był zbyt wytrawnym
znawcą kobiet, by nie zoba-
czyć w uśmiechu Simonne zama-
skowanego uczucia wstrętu. Na nie-
szczęście robi mu się znów słabo.

Przełaził się, by Simonne nie do-
strzegła tej słabości. Była nie ona.
Szybko zdążyła za kulisy szepcząc
rozpaczliwe słowa prośby: „Nie
tłucz się tak, serce. Nie będę pił.
Nie męcz...”

Nie wie, jak długo siedział w fo-
telu słuchając bijących o skronie
uderzeń krwi. Postanowił usprawi-
dliwić się przed koleżanką. Prze-
prosił. Niedobrze, jeśli na scenie
artysta przestaje być aktorem.
Grzegorz bez przebaczenia Simonne
boi się jej spojrzeć w oczy w sce-
nie trzeciego aktu.

— Pani Simonne wyszła — melo-
duje chłopak. Wszyscy wyszli, pro-
sze pana. Już późno.
Grzegorz jest oburzony. Więc Si-
monne nie czekała nawet na jego
przepraszania? Wyszła. Z kim? Nie
pyła o to gońca, bo wstydył się te-
go pytania, choć zależy mu bardzo
na wiadomości, z kim wychodzi z te-
atru Simonne. Jest rzeczywiście
późno. Scenę objeli we władanie
inni ludzie teatru: mechanicy, elek-
trycy, stolarze i służba techniczna.
Przygotowują dekoracje na jutrzej-
szą przedpołudniówkę. Grzegorz
wsiada w źle oświetlone ulice Pa-
ryża. Nie idzie pić. Idzie myśleć
o Simonne.

Przegląda się uważnie Darianowi
i nagle, jak to było w jego usposo-
bieniu, robi mu się wstyd, że
skrzywdził kolegę podejrzeniem o
szpiegowanie swej choroby.

— Nie gniewaj się, Darian. Ty
masz talent. Jestem chory, Darian.
Zapomnij urazy.
Silny uścisk dłoni ma ten Darian.

— Ja nie jestem ważny, Grze-
gorzu. Są rzeczy ważniejsze niż to,
czy będę grał dobrze. Franca. I ty,
artysta — Francji potrzebny.

Darian nie wychodzi z Grzegorz
wie, że nie na rozmowę o talencie
przyszli do niego. Grzegorz nie
domyśla się jednak, że gość zasta-
nowia się nad tym, czy można z tak
chorym człowiekiem mówić o Ré-
sistance.

— Ruina. Piękna ruina podobna
do starych rzymskich budowli nie-
przydatnych już do niczego, a jed-
nak swą wielkością tak potrzebnych
kulturze — myśli Darian i dodaje
głośno:

MARIA KAMIŃSKA

W obronie

ARTYKUŁ Konrada Eberhard-
ta pt. „W godzinę śmierci na-
szej”, zamieszczony w nume-
rze 26 (500) „Dziś i Jutro” należy
traktować, jako wypowiedź dysku-
syjną, która zainicjuje, być może
szerszą wymianę zdań na temat
wybitnego twórcy literatury współ-
czesnej, jakim jest z pewnością os-
tatnie opowiadanie Adolfa Rüd-
nickiego „Złote okna” (w tomie
„Żywe i martwe morze”, PIW,
1955). Na pewno jako „zachęta” do
dyskusji artykuł ten dobrze speł-
nia swą rolę, gdyż zawiera wiele
cennych uwag na temat twórczo-
ści autora „Ginącego Daniela”, wie-
le interesujących refleksji powsta-
łych na marginesie „Złotych okien”
— ale równocześnie przynosi sformu-
lowania i sądy, pod którymi
przeciętny czytelnik książek Rüd-
nickiego (do nich siebie zaliczam)
nie może się podpisać. Wydobywa-
jąc ciekawy problem filozoficzny
„wolności” i „ostatniej próby czło-
wieczeństwa”, Konrad Eberhardt
spojrzył na „Złote okna” jedno-
stronnie i na pewno nie oddał swo-
ją krytyką pełnej sprawiedliwości
temu dziełu.

Jeżeli dobrze zrozumiałam jego
zasadniczy punkt widzenia — to
rozdzielił on niejako książkę Adol-
fa Rüdnickiego na dwie „warstwy”,
osobno widzi sprawę Marka Kar-
mańskiego i Józefa Klona, a osob-
no wielki moment historyczny, jak-
im było powstanie w getcie warszaw-
skim i jego zagłada. Pierwszy
wątek, czyli upadek moralny Mar-
ka Karmańskiego i klęska zaufania
Józefa Klona wobec „drugiego po-
ety”, zasłużył na wielką przychylny-
ność w oczach Eberhardta; dzięki
niemu nazywa on „Złote okna”
największym poematem filozoficz-
nym dziesięciolecia, „dziełem du-
żej miary” itd. Równocześnie wy-
soko ocenia nakreślenie tej histo-
rycznej przez Adolfa Rüdnickiego,
pisze, że „w plastyczności swego
pisarskiego malarstwa Rüdnicki o-
siągnął w tym dziele szczyty do-
skonałości” oraz, że utworu takiego
mogłoby nam zadrześć wielkie
literatury europejskie. Ale
główny zarzut postawiony przez
krytyka „Złotym oknom” wydaje
się zamknięt w stwierdzeniu, że po-
między obiema „plaszczkami”
czy „warstwami”, wymienionymi
przed chwilą, nie ma dostatecznego
powiązania, że przedzielił je dy-
stans, że nie są nierozdzielnie ze-
-

— Nie jestem takim aktorem jak
Ty. Czy szpicluję? Może zbyt ostre
określenie, ale chyba szpicluję. To
wstyd dla ciebie. Czemu nie uczysz
młodych swej wielkiej gry?

— Nie jestem belfrem. Idźcie do
szkół dramatycznych, a nie do te-
atru. Mówicie, że nie dają nic te-
atrowi. Kłamstwo. Dają wielką grę.
Dla kogo przychodzi ludzie? Może
dla Ciebie? A może dla Simonne
lub Roux? Kto reprezentuje w tym
teatrze kulturę Francji chociażby
wobec boszów?

— To granie dla Niemców jest
największym złem, Grzegorzu. O
tym też musimy pomówić.

— Ja nie znam żadnych Niemców
i nie kłaniam się volksdeutschom —
zaniepokoił się stary aktor. Wie-
dział, że już wielu sławnych Fran-
cuzów dostało się na „złote listy”.
Przypomniał, że o Darianie mówił
się w Teatrze, że jest w Résistance,
Zabawa w „takie rzeczy” nie intere-
sowała Grzegorza, ale miał sym-
patię dla tych zwariowanych Fran-
cuzów, którym się zdaje, że rewolu-
warami i ulotkami mogą pobić ar-
mię, która przelamała linię Magli-
nota.

Przegląda się uważnie Darianowi
i nagle, jak to było w jego usposo-
bieniu, robi mu się wstyd, że
skrzywdził kolegę podejrzeniem o
szpiegowanie swej choroby.

— Nie gniewaj się, Darian. Ty
masz talent. Jestem chory, Darian.
Zapomnij urazy.

— Ja nie jestem ważny, Grze-
gorzu. Są rzeczy ważniejsze niż to,
czy będę grał dobrze. Franca. I ty,
artysta — Francji potrzebny.

Darian nie wychodzi z Grzegorz
wie, że nie na rozmowę o talencie
przyszli do niego. Grzegorz nie
domyśla się jednak, że gość zasta-
nowia się nad tym, czy można z tak
chorym człowiekiem mówić o Ré-
sistance.

— Ruina. Piękna ruina podobna
do starych rzymskich budowli nie-
przydatnych już do niczego, a jed-
nak swą wielkością tak potrzebnych
kulturze — myśli Darian i dodaje
głośno:

MARIA KAMIŃSKA

W obronie

ARTYKUŁ Konrada Eberhard-
ta pt. „W godzinę śmierci na-
szej”, zamieszczony w nume-
rze 26 (500) „Dziś i Jutro” należy
traktować, jako wypowiedź dysku-
syjną, która zainicjuje, być może
szerszą wymianę zdań na temat
wybitnego twórcy literatury współ-
czesnej, jakim jest z pewnością os-
tatnie opowiadanie Adolfa Rüd-
nickiego „Złote okna” (w tomie
„Żywe i martwe morze”, PIW,
1955). Na pewno jako „zachęta” do
dyskusji artykuł ten dobrze speł-
nia swą rolę, gdyż zawiera wiele
cennych uwag na temat twórczo-
ści autora „Ginącego Daniela”, wie-
le interesujących refleksji powsta-
łych na marginesie „Złotych okien”
— ale równocześnie przynosi sformu-
lowania i sądy, pod którymi
przeciętny czytelnik książek Rüd-
nickiego (do nich siebie zaliczam)
nie może się podpisać. Wydobywa-
jąc ciekawy problem filozoficzny
„wolności” i „ostatniej próby czło-
wieczeństwa”, Konrad Eberhardt
spojrzył na „Złote okna” jedno-
stronnie i na pewno nie oddał swo-
ją krytyką pełnej sprawiedliwości
temu dziełu.

Jeżeli dobrze zrozumiałam jego
zasadniczy punkt widzenia — to
rozdzielił on niejako książkę Adol-
fa Rüdnickiego na dwie „warstwy”,
osobno widzi sprawę Marka Kar-
mańskiego i Józefa Klona, a osob-
no wielki moment historyczny, jak-
im było powstanie w getcie warszaw-
skim i jego zagłada. Pierwszy
wątek, czyli upadek moralny Mar-
ka Karmańskiego i klęska zaufania
Józefa Klona wobec „drugiego po-
ety”, zasłużył na wielką przychylny-
ność w oczach Eberhardta; dzięki
niemu nazywa on „Złote okna”
największym poematem filozoficz-
nym dziesięciolecia, „dziełem du-
żej miary” itd. Równocześnie wy-
soko ocenia nakreślenie tej histo-
rycznej przez Adolfa Rüdnickiego,
pisze, że „w plastyczności swego
pisarskiego malarstwa Rüdnicki o-
siągnął w tym dziele szczyty do-
skonałości” oraz, że utworu takiego
mogłoby nam zadrześć wielkie
literatury europejskie. Ale
główny zarzut postawiony przez
krytyka „Złotym oknom” wydaje
się zamknięt w stwierdzeniu, że po-
między obiema „plaszczkami”
czy „warstwami”, wymienionymi
przed chwilą, nie ma dostatecznego
powiązania, że przedzielił je dy-
stans, że nie są nierozdzielnie ze-

Odpocznij, Grzegorz. Pomówimy jeszcze o tym. Teraz musisz grać.

Akt dłuży się jak nigdy. Duszo jest dziś w teatrze. A może tak zdaje się tylko Grzegorzowi. Myśli tekst. Przeciąga niepotrzebnie kwestie. Roux coraz niepokojniej patrzy mu w oczy. Na pełne troski spojrzenie Simonne odpowiada wzrokiem złym, nienawistnym. Naumyślnie myśli słowa tekstu. Cieszy się ze zmieszania, jakie widoczne jest w grze kobiety, która osmieliła się wzgardzić nim, Grzegorzem, dla jakiegoś smarkacza. Roux wchodzi.

Grzegorz zaczyna swój końcowy monolog. Jest w nim i miłość, i nienawiść. Równie szczerze, ale nie wiadomo, które silniejsze. Znowu rwie się tekst monologu. Sufler nie wie, czy to daje o sobie znać chore serce Grzegorza, czy to jest nowy sposób interpretacji tekstu.

Tylko Simonne przerażona jest męką. Wie, że to nie jest gra. Tak grać nie można. To stary człowiek szaleje z miłości. Darian też wie, co jest z Grzegorzem. Pamięta rozdierający płacz, który targął aktorem tuż przed wejściem na scenę. Wie, że o Grzegorza trzeba się bać. Tam, w garderobie, można było płaczem wyrzucić z serca część beznadziejnego kochania. Taka męka nie może ujść z serca słowami tekstu napisanego przez obcego człowieka. Małe to ujście dla tak wielkiego bólu.

Dobra gra — ocenia rzeczowo sprawę dyrektor Reszke, który przybył niedawno z Berlina. Nie zna jeszcze Grzegorzowej tragedii. Nie wie, że to stary człowiek szaleje z miłości. Grzegorz mocno bierze w ramiona Simonne. Czuję opór, ale to tylko wznaga uczucie pożądania. Ustami szuka jej ust. Nagle czuje mocny zdecydowany cios w pierś. Nie odechnięcie, właśnie cios. Silniejsze od uderzenia są słowa, które ciska Simonne wprost w twarz wielkiego Grzegorza: — „Bydlę”.

Grzegorz zasłania twarz przed tym słowem. Najwspanialszy z reżyserów, rozpacz, unosi ramiona, które starają się odechnąć obejga. Grzegorz ciężko siada na fotel. Tego nie było w scenariuszu. Nie było też tego bezsilnego pochylecia głowy, z jakim ona opada na pierś artysty. Przytomny mechanik szybko opuszcza kurtynę. Darian wypada zza kulis wzywając lekarza.

Simonne nie może strząsnąć z siebie ohydny smaku jego ziejących alkoholem ust, ani też zapomnieć groźnych, nieprzytomnych oczu starca. Stoi w tym samym miejscu, w którym całował ją Grzegorz, i powtarza bez przerwy — „Mon Dieu”.

Zaczęły się dla Simonne dni złe. Grzegorz zaczął się w nienawiści. Bez względu na to czy pił, czy nie, krążyły po teatrze plotki ohydne,

powtarzane przez zazdroszczące Simonne Grzegorzowej miłości aktorów.

Nieznamy przyszedł za kulis w dniu, w którym Grzegorz przeprosił Simonne pod presją zespołu. Pośredniczył sztywny, nieprzyjemny Reszke. Nazajutrz Grzegorz, już nie przymuszany przez nikogo, przyniósł kwiaty dla Simonne. Prosił o przebaczenie rozmodlonym wzrokiem pobitego zwierzęcia. Podala mu dłoń bez wiary w jego skrucie, przestraszona i smutna.

Z nieznanym zderzył się w drzwiach garderoby. Poznał go od razu.

— Pan po bilet? Służę nową kartką — powiedział ze złośliwą uprzejmością, usprawiedliwioną przez zazdrość, która zżera Grzegorza.

Przecież nieznamy też kochał Simonne.

Tamten chwycił go za rękę. Mocno. Głos miał gniewny.

— Niech pan nie robi bólu Simonne. Po co pan tak mocno ścisną ją za ramię w drugim akcie. To ją boli.

Grzegorz patrzy uważnie na swego gościa i milczy. Jakże jasno rysuje się różnica między jego miłością, napaśliwą i złą, a tą, piękną, daleką miłością tego chłopca.

— Pan tak bardzo kocha? — pyta ciepło. — Zapraszam pana na wino. Pomówimy o Simonne.

Szli milcząc. Przemówienie było w Grzegorzu pragnieniem mówienia o Simonne. W barze przywalił ich tłum stałych bywalców. Znali tutaj Grzegorza. Kelner bez zamawiania przyniósł koniak i kieliszkę.

Po co pić. To szkodzi...
— Już ci powiedzieli, że się kończy? Powiedzieli, czy nie? — demenuje się Grzegorz.

Młody milczy patrząc, jak Grzegorz znów napełnia kieliszkę. Wypili. Wysoki stółek barowy już po trzecim koniaku stał się niezwykle wyrotny. Młody musiał podtrzymać Grzegorza, by ten nie upadł.

Darian mówi, że nie zrobiłem nic dla francuskiego teatru. Ze nie dałem następcy. Darian krzywdzi Grzegorza. Przecież dam ciębie — Patrzy w górę i skandując uroczyście mówi słowo „Ka-rie-ra!” Czy wiesz, że wtedy Simonne poleci na ciebie? One wszystkie takie. Patrz: Wielki Grzegorz zatrąwa się alkoholem. Ty trącasz franki na kwiaty dla niej. Przyszły się, ile zarabiasz: sześć tysięcy franków. Więcej?

Nieznamy słucha z szeroko otwartymi oczami. Grzegorzowi płacze się język. Unosi się. Alkohol pomnaża ból odrzuconej miłości. Wyrzuca z siebie słowa coraz plągasze, obraźliwsze:

Zapijamy się tu, a ta sukca... — Nie dokończył. Pierwszy cios padł na szczękę i oszołomił Grzegorza. Drugi rozciął mu wargę. Grzegorz oprzytomniał na chwilę, by móc patrzeć z ciekawością na to, jak dwaj pijacy usiłovali przetrzymać za ręce szarpającego się chłopca. Kilku

Józefa Klona

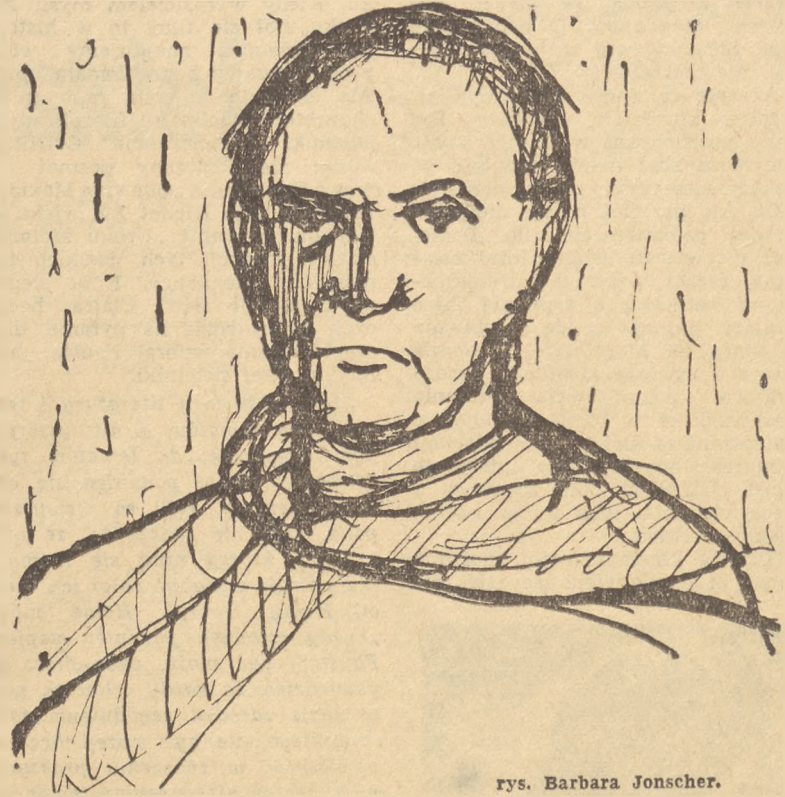
spolone. I tutaj właśnie, na tej piaszczyźnie, Adolf Rudnicki, który zwyczajnie, jako „pisarz — filozof” czy, jako mistrz opisu i narracji — ponosi klęskę jako dziejopis swego narodu. Zarzut to niemały. Wiąże się on ściśle z negatywną oceną postaci Józefa Klona, bohatera powieści Rudnickiego. On właśnie miał być przecież reprezentantem swego ginącego narodu, wyrazicielem jego najczystszych, najlepszych intencji i wielkich wartości, a wreszcie człowiekiem — twórcą swego losu. On miał być przeciwstawieniem Marka Karmańskiego. I na niego właśnie w artykule Konrada Eberhardta spadają najcięższe gromy.

„Kim jest Józef Klon? — zapytuje krytyk — Co reprezentuje? Jakże są motyw jego działania?”. Na pytania te nie daje odpowiedzi, ponieważ stwierdza, że „Józef Klon jest cieniem, który porusza się, działa, żyje”, że jest „biernym świadkiem, miotany falą zagłady”, że jeżeli poznajemy niewiarne oblicze Józefa, to w zestawieniu ze „zdecydowaną, głęboką wyzłobioną twarzą Marka”. Z dalszych wywodów dowiadujemy się, że Józef Klon jest „człowiekiem”, który „chronicznie się spóźnia” i robi wrażenie „zagubionego przechodnia”. Wreszcie Eberhardt przedstawia nam główną postać powieści Adolfa Rudnickiego, jako „neurastenika, którego obecność w gęticie jest zaspokojeniem tylko osobistych konieczności”. Na koniec nazywa go „zabłąkanym żołnierzem żydowskiego podziemia”, dodając w nawiasach znak zapytania dla podkreślenia swych wątpliwości czy tym żołnierzem był w istocie. W rezultacie swego bezwzględniego ataku na Józefa Klona krytyk dochodzi do wniosku, że „Złote okna” są epopeją bez bohatera, tragedią dziejową bez „postaci tragicznej”.

Trudno było podejrzewać autora unikliwych „Szkiców francuskich” o tak uproszczone widzenie problemu „bohatera” i jednocześnie o równie mało umotywowane zarzuty pod adresem świetnej powieści Adolfa Rudnickiego. Eberhardt myli się sądząc, że postacią zdolną oddać wielkość historycznego momentu może być tylko „bohater” ze sztandarem lub bronią w dłoni, idący w pierwszym szeregu. Chyba nig legitymacja, nie stano-

wisko, nie ważność wypełnianej funkcji decyduje, czy ktoś jest bohaterem, czy nie. W „Złotych oknach” mógłby nim być polski Aleksander Topaz, ale równie dobrze Józef Klon, ów szary żołnierz podziemia, jeden z wielu.

Nie podobna podpisać się pod zarzutami Eberhardta w stosunku do tej wyjątkowo szlachetnej sylwetki ludzkiej. I Józef Klon wcale nie jest tak nieokreślony, enigmatyczny postacią, jakby się krytykowi zbyt pochopnie wydawało. Przechodzi on przez mury z określonego powodu, czynnikiem mianowicie od doktora Brauna, „ostatniego króla żydowskiego” — konkretne polecenie odszukania i przeprowadzenia przez mury na „aryjską” stronę Aleksandra Topaza i to polecenie usiłuje wykonać bez sprzeciwu. Nie udaje mu się to, gdyż Topaz ginie, ale podjęte zobowiązanie wiąże Klona ze skazaną dzielnica i w niej już pozostanie. Dlaczego wedle opinii Eberhardta „prawdziwie tragiczny akt wyboru śmierci, owego „tak” lub „nie” w ostatnim momencie” itd. dokonał się za ich (tj. Józefa Klona i Marka Karmańskiego plecami?) Przecież Józef absolutnie i bez reszty dziełi los swoich braci i nie podobna wymagać od niego jeszcze czegoś więcej. Bez wahania wybiera raczej śmierć niż zdradę owego losu. Czyż nie określa siebie tym dostatecznie? Jest pełnym i wielkim przeciwstawieniem słabej i ujemnej moralnie postaci Marka Karmańskiego. Lękać się użyć w stosunku do niego określenia „bohater pozytywny”, ponieważ zbyt wiele narosło nieporozumień wokół tego terminu, zbyt wiele czczych formuł usiłowało go objąć. To jest po prostu c z ł o w i e k — chociaż „moim zdaniem”, dobrze wypełnia rolę bohatera, zarówno w sensie odgrywania głównej roli w dziele literackim, jak również w sensie człowieka znajdującego dla swego życia najwyższą miarę. Jest postacią, jakich niewiele w naszej literaturze powojennej. I dlatego dziwię się, że został w artykule Eberhardta zepchnięty na ostatnie miejsce. To jemu, a nie Markowi Karmańskiemu należała się ta niezbyt wielka zresztą doza sympatii, jakiej krytyk tak skąpił postaciom „Złotych okien”. Powieści dobrze oddającej tragiczny finał warszawskiego getta,



rys. Barbara Jonscher.

bawarskich piechurów było brawa. Rósł potężniejszy gwar oburzonych głosów.

— Piękna scena filmowa — ocenia zającie Grzegorz. Dla Grzegorza nieznanym jest znowu spotkanym gdzieś aktorem. Wszystko pomieszało się w chorym mózgu.

— Puść go — woła donośnie bijąc pięścią w stół. — Jakim prawem wtrącać się do nas. Grzegorz walczy o kobietę. Vive la femme!

W barze śmieją się. Znają tu pijackie wybuchy Grzegorza, który chwycił krokiem idzie już ku garderobie.

— Płaszcz dla Grzegorza, generale — rozkazuje szatniarce ubranemu w czerwoną liberię.

— Grzegorz walczył o kobietę — mówi jeszcze raz rozbowionym gościom baru i wychodzi na ulicę. Wieczór przyjemnie chłodzi mu twarz. Rozciąta wargę zaczyna pobolewać. Grzegorz czuje w ustach smak krwi — krew. „Skąd krew — dziwi się Grzegorz. — Pobili Grzegorza. Za co pobili? Za co?”

Iść coraz trudniej, bo ulica, na złość Grzegorzowi, robi przedziwne zygaki. Latarnie pochylają się tak, by zagradzać mu przejście. Co gorsza: domy chwieją się przedziwnie, grożąc runięciem na głowę.

— Puść mnie do domu — prosi Grzegorz złośliwą latarnie, ale ona trzyma się jego ręk i nie puszcza. Chwieją się więc ona i Grzegorz w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, w takt roztańczonych domów.

Jakaś późniona para zatrzymuje się na chwilę zaciekawiona dostatnim ubraniem pijaka. W tej dzielnicy rzadko ukazuje się taki gość.

— To Grzegorz — mówi mężczyzna i dodaje kilka słów, których nie może już aktor usłyszeć. Słyszy tylko zdrowy śmiech oddalającej się pary. Nie czuje w nim drwiny. Odwrotnie. — Grzegorz jest wielki. Wszyscy znają Grzegorza, — stwierdza głosem dumnym, i śpiącym parryskim ulicom, zaczyna wspaniałym głosem wielkiego aktora Grand Théâtre deklamować słowa Marsylianki. Przerażony francuski żandarm z trudem uspokaja Grzegorza.

— Niech pan idzie do domu. Po co panu Buchenwald.

Popycha Grzegorza w stronę bulwarów, gdzie można jeszcze o tej porze spotkać taksówkę. Ale Grzegorz nie idzie do domu. Zaprasza go łagodnym światłem bar, który dużo namnożyło się w czasie okupacji. Blondyn z oczami, jakich nie miewają Francuzi, robi mu miejsce obok siebie.

— Zapraszam na wino Wielkiego Grzegorza — mówi akcentem zdradzającym cudzoziemca.

— Wszyscy znają Grzegorza — odpowiada aktor.

— Trudno pana nie znać będąc w Paryżu. Widziałem pana w Skąpcu. Tak jak pan, grał tylko Jaracz — mówi trochę do Grzegorza, a trochę do swych myśli.

— Jaracz? Kto to jest Jaracz? — Nikt dotychczas nie osmielił się mówić Grzegorzowi, że istnieje aktor taki jak on.

— Jaracz grał w Warszawie. W Atenum. Był pan w Warszawie? Nie? Szkoda...

— A teraz? Teraz, gdzie gra Jaracz?

— Nigdzie nie gra. Jest w Oświęcimiu — mówi smutno Słowianin. Grzegorz od pierwszej chwili wyuczył, że jego rozmówca musi być aktorem, jeśli nie aktorem to artystą. Teraz jest tego pewien.

— Bosze zamknęli wam Jaracza? A co na to aktorzy? Co Teatr?

— W Polsce aktorzy nie grywają w teatrach, bo w Warszawie są Niemcy.

— Jak to nie grają — dziwi się Francuz. — I tutaj są bosze, a my gramy dla Francuzów.

Polak milczał. Grzegorz zrozumiał to milczenie jako chęć dotknięcia go w obywatelskiej godności.

— A społeczeństwo? Co zrobiło społeczeństwo, żeby ratować waszego Jaracza?

— W Polsce społeczeństwo walczy — mówi twardo Słowianin. Tak twardo, że Grzegorz przyjmuje te słowa jako zaczepkę. Odpowiada:

— Francja walczyła na polach bitew. I teraz biją się nasi lotnicy...

— Walka z faszyzmem nie kończy się na polach przegranych bitew.

Grzegorz chce odpowiedzieć, ale Słowianin zęga się i podchodzi do człowieka, który właśnie wstąpił do baru. Grzegorz poznaje młodego pomocnika reżysera, który przyjechał do teatru z północy. Skąd się znają ze Słowianinem? Grzegorz jest zły, że pozwolił mu odejść. Trzeba lu-

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Objawienie

Ani

skupienie
stoimy nieznanymi
na kamiennym wulkanie umarłych
nawy płyną płaczem
marmur
to jest wąski pod cień pergamin

i nie będzie pokorny zachwyt
nad minuskulą zwierzeń i podań
kiedy pismo rozetnie ogień
który zajął spojrzenie martwych

obcy czas
rzeźbi posąg ognia
w chwale wybuchu
wysokość skrzydeł
i nas

Wiek

Cztery kłosa ubogich spojrzeń
wstyd obnażonych ziaren
— wyschły głód wzburzy nagle pożar
łaknących ciała i wiary

Okrag ziemi otwartej pionowo
spełni wolę narodzin roku
Wymienimy nad jego głową
cztery kłosa spojrzeń ubogich.

Krzyk

nawet ból nie zmienia barwy oczu
za pięćmi chłodny fiolet rąk
tylko w cień przegięty ożył
mały i smutny lok
może
czernią rozewrze się spokój
w niemy zamarzły krzyk
zaczętych wysoko włosów
obcych włosów przerażenia
nie

kwiaty karminem zapachu
owiną nogi smagłe
pochylony usłyszysz z piasku
krzyk włosów zastygłych nagle.

Tren

Położą się oczy kwiatów
na bezruch ciał —
płacz płacz szkarłatne
w piach

Płomienie ciemności wstaną
tylko nie strach
kracze na krzyżu ramion
ptak

Baśń zimowa

Śnieg jest jak flet, a może obój,
a pokój jest jak kłozek z waty.
Przyjdziemy nagle z mrozu obaj:
czarny Mefisto i Skrzydlaty.

Wróżb tajnych i szkarłatnej magii
zwinie się nad głowami obłok
i zostaniemy na nos sami:
czarny Mefisto z białą Tobą.

Ballada o Merlinie w podróży

Romecze

Pamiętam:
drzewa chmur
wiązały równinę i chód
jedwabny chód czterech kopyt

Zamyślony
w dolinach
które nadeszły o świcie
Merlin rozważał pogoń
niebezpieczną podróż
przez ziemie ostre i martwe
pod liśćmi niskiego śniegu
który krzyczał iskrami
spód kutych podków mosiężnych

Ślad ucieczki był płytki i srebrnie
inkrustowany mrozem
równolegle szczyliny
mniejsze niż jedna dłoń
biegnąc parzyćście
kwitły raz po raz okrągłym
znamiętem kruchego kolana

Koń rozłupywał odległość
nozdrzami
— różowymi jak niebo —
nasłuchiwał

dzwoneczki obcasów
śpiewały
rytmicznie bieg

Pamiętam:
kwiaty chmur
rozkwitwały złocistym karminem
biły w piasek głęboko
cztery mosiężne kopyta

Zamyślony
na wzgórzach
wielbiących enneametrem niebo
zamykał w śniadzi dłoni
piers drobny kuliciście
jak ziemia

Czesław Ostankowicz

Atomowy Faust

EDWARD Jastrzęb w swoim esej „Dziś i Jutro” Nr 27) niefrabosobiwie uznał „Urok szatana” za kłeskę René Claira, jako że twórca pozabawił swe dzieło zawartych w nim wielkich perspektyw społecznych.

Wydaje mi się, że nieporozumienie zaczyna się już w samym sformułowaniu: jak coś ma być pewne wartości — może ich równocześnie nie posiadać? Ale sądzę, że sprowadzenie dyskusji do poprawności stylistycznych sformułowań daje rozwiązanie co najwyżej szaradowe, a chodzi przecież o sprawę zasadniczą — czy film jest kłeszką René Claira, czy też nie?

Zaczniemy od tego, czym jest w ogóle „Urok szatana”.

Fascynujące losy Fausta poczynając od pierwowzoru Johanna Spiesza i literackie wcielenia u Marlowe’a, Widmanna, Weidemanna, Klingera, Soda, Goethego, Valéry’ego i wielu innych, aż po współczesnego Manna, doczekały się również nowoczesnego filmowego wydanania. Trzeba bowiem szczególnie to podkreślić na wstępie, że film René Claira nie jest adaptacją żadnego z tych pierwowzorów, ale samodzielną artystyczną transpozycją motywu faustowskiego na język tej współczesnej literatury, jaką jest dziś film. W filmie clairrowskim nie ma nic z lumierowskiego czy meliesowskiego szukania szlachetnych antenatów w literaturze i teatrze (czy z murauowskiej ekranizacji raczej operowej koncepcji). Jest to samodzielny obraz, który odbija lata przełomu XX stulecia. I tak, jak w różnych epokach, w ciągu swych przeszło czterowiekowych dzieł legenda ta, ucieleśniająca jeden z wielkich dylematów ludzkości zmieniała swój profil wobec historii, tak i w tym najnowszym wydaniu została ona zmodyfikowana piętnem czasu i indywidualnością twórcy. Oczywiście, będzie ona miała szereg związków,

nawet dość ścisłych, z poprzednimi realizacjami, ale w swojej zasadniczej koncepcji jest na wskroś oryginalna i nienagannie przedstawiona.

Chciałem stworzyć Fausta lacińskiego — powiedział Clair. — Łaciński rozumem tak, jak z pewnością Stendhal rozumiałby mediolański. I do wyznania tego reżyser dorzuca jeszcze cytaty z „Przechadzki po Rzymie” Stendhala: Niemcy powiedzieli sobie: Anglii chwyciła swego Szekspira, Francuzi swego Woltera i Racine’a, my zaś nie mamy nikogo! W wyniku takich rozmyślań Goethe ogłoszony został wielkością. A coż takiego stworzył ten genialny człowiek? Wertera. Ponieważ „Faust” Marlowe’a więcej jest wart od Fausta Goethego. Clair mnoży dalej zarzuty przeciw Goethemu: przesterżenie ideałowych w stosunku do fabuły, kwestionuje logikę dzieła (malo jest dzieł na świecie, w któ-

Trzeba przyznać, że Faust jest dziełem nieudanym. O powodzeniu jego zadecydowały walory poetyckie, nie teatralne.

Aż tyle zarzutów wytoczył Clair przeciw arcydziełu Goethego. Być może przeholował w swojej ironii, być może zbyt daleko poniósł go piekący sceptycyzm francuskiej filozofii. Ale przecież chyba nie o literacką polemikę chodziło. Ponieważ rzucono tu myśli Claira osiadał na rzecz warsztat dramaturgiczny reżysera, a tym nie mam zamiaru zajmować się, zostawmy te spory na marginesie. Z opinią Claira o utworze Goethego bardzo ciekawie polemizowała Stefania Skwarczyńska w tomie „Studiów i szkiców literackich” i tam odsyłam zainteresowanych. Mnie interesuje Faust clairowski jako rozprawa z rzeczywistością, jako wyraz swojej epoki w sztuce.

Historia kinematografii, choć ma na swym koncie wiele arcydzieł, nie



Scena z filmu „Urok szatana”

rych logika miałyby mniej do powiedzenia niż właśnie w dziele Goethego), konstrukcję fabuły, koncepcję sytuacji, niescenenność. Myślę, że przyczyna leży w tym, że zarówno u Marlowe’a jak i u Goethego pakt między Faustem i diablem zostaje podpisany zbyt szybko. Nie ma więc konfliktu dwóch sił. W wyniku — brak akcji. Postanowiliśmy z Salacrou zrobić rzecz według logiki dramatycznej, nadać jej dramatyczną budowę. Zresztą Goethe gubi zagadnienie. Tyle zamieszania po to, żeby zrobić dziecko pieruszej nauwej.

jest jednak bogata w dzieła, które zamykałyby obraz i myśli nurtujące epokę w skrótej metaforze. Do tego potrzeba wielkiej odwagi i umiejętności. Na szlaku myśli i historii społeczeństw leżą milowe kamienie sztuki, którymi oznacza ludzkość swój pochód. Hamlet, Faust, bohaterowie Balzaca i Tolstojów mają wbrew pozorom wielu swoich autorów i swoją historię. Zanim powstały te arcydzieła wiele dzieł napisano o walce dobra ze złem, o rozdarcie człowieka, zidentyfikowaniu w muzeach literatury ludzi i człowieczków XIX wie-

ku. Kiedy wyrażycielem myśli XX wieku stał się film, to w historii jego również znajdujemy wiele prób rozprawy z problemami dnia. Ale niewiele z tych prób miało charakter wielkich filozoficznych polemik. „Nietolerancja” Griffitha, wielki niedokończony poemat filmowy Eisensteina, „Que viva Mexico”, tragiczny Don Kichot XX wieku — Chaplin. Korzenie „Uroku szatana” sięgają tradycji tych wielkich filmowych polemistów. I tu sięgną powtórnie do słów Claira będących odpowiedzią na pytanie, dlaczego właśnie wybrał Fausta, jako motyw swej polemiki.

„Jest w historii literatury i teatru kilka tematów o niewyczerpanym bogactwie; do tematów tych rozważny pisarz powinien się odnosić nieufnie. Jeśli są niewyczerpane, czyż nie znaczy to, że nikt z ludzi, którzy nimi się zajmują nie potrafi wydobyc z nich treści? Kiedy Henryk Heine mówi „każdy człowiek powinien napisać Fausta”, być może, chce przez to powiedzieć, że każdy człowiek nosi w sobie zarodek zagadnienia faustowskiego, ale być może, chce też powiedzieć w znaczeniu praktycznym, że ten nieogarniony temat nie może zostać nigdy wyczerpany — czy przez Marlowe’a, czy przez Goethego — i na zawsze pozostanie przedmiotem i najbardziej ambitnych i najskromniejszych zamierzeń. „Ale po cóż nowy Faust, powie ktoś, i to w naszej epoce? Zainteresowanie, jakie od czterech wieków rozbudza ta legenda, da się wytłumaczyć dość prosto: Faust uosabia pragnienie wiedzy i władzy. Aby zaspokoić te pragnienia, Faust sprzedaje swą duszę diabłu. Postać taka, jaką jest Faust, w świetle naszej epoki nabiera szczególnego koloru. Wielki prąd działalności umysłowej, który popychał alchemików do poszukiwania kamienia filozoficznego i tajemnic materii, dotrwał, nie słabnąc, aż do wieku odkryć atomowych. I nasi współcześni korzystają z przywilejów uczestniczenia w dziwnym widowisku, gdzie ludzkość, sprzedawszy swą duszę Wiedzy, pragnie zapobiec popięciu świata, ku któremu popychają go ich własne odkrycia”.

Tak wygląda rozprawa współczesnego artysty z roku 1950. I ta rozprawa tak zmusza do zajęcia pozycji wobec siebie samych i naszego miejsca na ziemi, jak swego czasu zmuszał współczesnych sobie do zajęcia stanowiska Goethe.

Nie mam zamiaru w tej chwili polemizować z tymi opiniami, które film „Urok szatana” stawiają niżej, czy ponad dzieła Goethego i Marlowe’a. Nie to jest przecież istotne. Wydaje mi się, że nie można tu stosować jakichś bezwzględnych i ponadczasowych miarek krytycznych, bo używając środków artystycznych romantyków czy realistów XIX-wiecznych, nie stworzyliśmy w naszej epoce równych im dzieł. Adolf Rudnicki w „Niebieskich kartkach” tak pisze: „Publiczność wpatrzona na stronę N. wola: nie widać Homera! Nie widać Balzaca! Co za niedźna epoka! Jakże karty biorą się dzisiaj do pióra! Nie ma Balzaca, ani Homera, gdyż czas ich nie potrzebuje. Pociąg nadjeżdża prawdopodobnie z zupełnie innej strony”.

Film Claira otwiera w nas wielką dyskusję nad przyszłością świata i tu leży jego największa zasługa. Jak żadna z dyscyplin sztuki rozwinął i zaostriżył problem faustowski XX wieku. I to jest jego największą nobilitacją.

I dlatego nie można uznawać „Uroku szatana” za kłeszkę. Artysta, który w warunkach komercyjnej produkcji podejmuje tak zasadniczą rozprawę filozoficzną — musi pójść na nieuniknione ustępstwa.

Nie zaprzeczę, że Clair popełnił jeden wielki błąd. Zalał w sprawie Fausta i jego buntu, każąc odwrócić się od myśli i pójść za głosem miłości. Wbrew postawionym sobie założeniom nie dał odpowiedzi na to, co robić ma współczesny Faust ze zgrozonymi w arsenalach podkami myśli ludzkiej. Siłą clairrowskiego Fausta jest krytyka imperialistycznych wojen i antyhumanistycznego wykorzystania zdobyczy wiedzy naszej epoki, ale słabością to, że wiedza ta prowadzi nieuchronnie do katastrofy. Wiemy, że ludzkość zgromadzona pod błękitnymi znakami rozwiązuje tę sprawę inaczej.

Czy ten błąd przekreśla wartość filmu Claira? Przecież w ostatecznym rozrachunku Faust króluje nad wszystkimi wcieleniami diabła. Wprawdzie nie wchłonął do końca marzeń dzisiejszego człowieka, marzeń nie tylko o osobistym szczęściu, ale uniósł i przekazał nam czyste człowieczeństwo. Clair zakończył swój film fałszywym morałem, że człowiek znajduje swoje miejsce na ziemi poprzez oczyszczającą siłę serca, ale jednocześnie dał tyle siły Faustowi, że potrafił odwrócić swój los i zatrumfować nad ziemi. I dlatego nie można filmu Claira dyskwalifikować, jak to zrobił autor wspomnianego na wstępie eseju. Clair postawił przed nami wielkie problemy współczesności i choć je częściowo błędnie rozwiązał — to w niczym nie umniejsza jego twórczej odwagi. „Urok szatana” to nowy kawałek historii kinematografii, pełen zrysków w poszukiwaniu realistycznego widzenia człowieka. Poszukiwaniu uwieńczonego niematem powodzeniem.

Andrzej Odolański

„D O M

NAJDZIWNIEJSZE w tej sztuce jest to, że się Nalkowskiej udało. Za mało w niej materiału na dramat, a jednak słucha się tego jak prawdziwego dramatu. A przecież chwilami wierzyć się nie chce, że można było aż tyle wydobyć z prawie martwego szkieletu. Bo prawdę mówiąc, niewiele dzieje się w tym domu starych kobiet na wsi. Tu główne role grają raczej ich wspomnienia, a nie one same, jako, że ich życie w czasie teraźniejszym już się właściwie skończyło. Te panie mówią o swoich zmarłych mężach i wygładza na to, że bez nich czują się niczym. Do połowy są już pogrzebane. Przeżyły z nimi wiele lat, a jednak nie wiedzą o nich wszystkiego, a to, czego się dowiadują, jest może gorsze niż śmierć. Tak. Nie ma nic straszniejszego, niż kochać i poczuć się oszukany. A taki los spotyka Joannę zaledwie w kilka miesięcy po stracie ukochanego Krzysztofa...

W decydującym momencie okazuje się, że ten najbliższy jej człowiek w tajemnicy przed nią złożył drugą rodzinę, że miał nieślubną córkę i ona to właśnie zjawia się w trzecim akcie i żąda pomocy materialnej od zony swego ojca, która w ogóle nie wiedziała o jej egzystencji i o tym, że maż jej miał kogoś w życiu poza nią.

Jak z tego widać, autorka postanowiła uczynić tę przeszłość obecną i żywą w teatrze. Musiała tak wszystko ułożyć, by ci, których nie ma, weszli do akcji i stali się dla nas ze wszech miar wyuczalniami. Nalkowska podjęła tę próbę, jedną z najtrudniejszych, i — co waż-

stawiana we wszystkich zagadnieniach głowie. Trzeba je było potraktować serio, a to nie każdemu się przecież udaje. I myśmy też nie od razu spostrzegli, że ta sztuka jest doskonałym pretekstem, kryjącym w sobie tragiczny pogląd na świat, filozofia zawarta w istocie każdej sytuacji — to założenie przede wszystkim zaczyna nas interesować.

Doprawdy w antrakcie warto było posprzezać się o to, co to jest ważniejsze? Bieg zdarzeń czy znacznie ciekawszy od nich, znakiem i celny komentarz? Pamiętamy jednak, że na postawie, jaką nam tu sprezentowała Nalkowska, złożyło się wiele istotnych współczesników historii kultury. To nie byłby kto przemówił do nas ze sceny. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że tu za każdą babcią ukryto się przynajmniej kilku starych filozofów. Niektórych poznaliśmy tutaj nie tyle może po głosie, co po sposobie myślenia. A najpierw przypomniał się nam ów patron dzieł następnego wieku: August Comte. To bodajże on powiedział, iż „poznanie zawsze będzie zależne od stanów naszego organizmu i od sytuacji, w jakiej my daną rzecz poznajemy. Jedną jest tylko maksyma bezwzględna — to ta, że nie ma nic bezwzględnego”. Lecz znacznie więcej od tych tez obchodzą nas ich konsekwencje moralne. Cóż bowiem wynika z przyjęcia relatywizmu za rzecz dowiedzioną i pewną? Rewolucja obyczajowa? Tak. Jej skutki pokazano nam tutaj wyraźnie.

Bohaterka sztuki Nalkowskiej, trzydziestopięcioletnia rozwódka, próbuje uchwycić istotę tego proce-



Janina Muncingrowa w roli Celiny Belskiej i Zofia Lindorówna w roli Marii.

niejsze — potrafiła nas przekonać, że to, co już pozornie minęło, kryje w sobie wiele niepokojących i groźnych tajemnic, każdej chwili zdolnych zniweczyć nasz spokój wewnętrzny.

I pomyśleć, że „człowiek żyje jeden obok drugiego lata całe i nic o nim nie wie. Żyje między swoimi jak w ciemności. Zaledwie siebie zna i to źle, zazwyczaj źle siebie sądzi. Jakże więc można sądzić innych? Co można naprawdę wiedzieć o ludziach z ich czynów i słów, gdy niewiadome są myśli”. Sentencję tę wypowiedział sceptycyzmnie usposobiona starszuszka, taka, co to przekroczyła już osiemdziesiątkę i oczywiście nie zdążyła jeszcze wyliczyć się z relatywizmem, będącego swoiście pojętą kwintesencją mądrości epok schyłkowych. Słuchając tych jej aforyzmów, wypowiedzianych przy każdej okazji, mimo woli zaczynamy myśleć o powiązaniach sztuki scenicznej z filozofią. Zdradliwe to są i niebezpieczne filiacje. Przed Irzykowskiem sądzono, że nadmiar refleksji musi widziwoi istoty nurtu zdarzeń przesłonić. Lecz właśnie w takich wypadkach najlepszy pisarz ratowali się błyskotliwością, dowcipem i paradoksem. Oskar Wilde wiedział, że na scenie mądrość bez uśmiechu często wydaje się martwa. Te maksymy wzięły sobie do serca Bernard Shaw, a u nas Antoni Słonimski. Ale Nalkowska nie bez racji wywrzeka się tych intelektualnych popisów dobrego humoru. Nic dziwnego. Wszak wprowadziła nas całkiem świadomie w taką ponurą historię, że tu już naprawdę nie było okazji do po-

su mówiąc: „Teraz, babciu, wszędzie tak jest, że przecież miłość mi ja. Nikt teraz nie jest wierny, nikto. To może dawniej tak było, ale nie teraz. Wszyscy się zdradzają, wszyscy się rozstają. I mnie się zdaje, że tylko o to chodzi, żeby jakoś z tego powodu nie cierpieć, żeby się z tym umieć pogodzić”. Dobrze — ale z czym? Zobaczymy, jak to wygląda na scenie...

OTO Krzysztof. Żonaty mężczyzna nie potrafi wyrzec się pożądanego afektu i w tajemnicy przed swą legalną małżonką zakłada drugą rodzinę, ma dzieci i dzieła swój los pomiędzy tę, od której nie chce odejść, żeby jej nie skrzywdzić, i tę, którą — nazwijmy to — nielegalnie pokochał. Tak, ale czy mógł nie pokochać? Dla artysty tutaj zaczyna się problem, dla księdza on właściwie w tym miejscu się kończy. Duchowny powie nam krótko: Skoro wcielana jego uczuciami, nie powinien być jej więcej widzieć, powinien być jej unikać. Nie byłoby wtedy dramatu. Kto w tej dziedzinie wybiera jedną możliwość, unicestwia tym samym wszystkie inne. Świadomie i dobrowolnie wyrzeka się nieprzebranego bogactwa. A czyniąc tak musi wiedzieć, że żadna jednostka nie reprezentuje najlepszych cech swego gatunku. Posiada tylko niektóre, więc zawsze czegoś jej brak. Te braki na pewno wyjdą na jaw i nikt nie zdola ich ukryć, albowiem każdy nasz wybór w pewnym sensie równoznaczny jest z rezygnacją i ograniczeniem. Moralność istnieje po to, by powściągnąć w nas

Z problemów współczesnej muzyki kościelnej (2)

KIEDY kompozytor francuski Emile Damais wystąpił z nowym utworem „Passion” na głosy trzech solistów, chóru i orkiestry, od słów Rogera Lucas, nikogo nie zdziwiła już eksperymentatorska forma jego religijnej kompozycji, dziwaczne połączenie głosów ludzkich z głosami instrumentów, czy operowanie nowoczesnymi środkami dźwiękowymi. Był to przecież rok 1952. Muzyczna twórczość religijna przeżyła już okres wpływów awangardowych, rewolucyjnych prądów muzyki świeckiej, wpływów, które omal nie przewróciły do góry nogami starych jej praw i zasad. Nie darmo kompozytorzy religijni byli zarazem pionierami i współtwórcami nowych kierunków muzyki świeckiej. Trudno dziwić się, że poszukiwania ich znalazły oddźwięk w utworach religijnych czy przeznaczonych do wykonywania w kościele.

Oratorium przybiera na przykład formę teatralnego dramatu ilustrowanego muzyką. Obrazy, akcje przesuwają się niby w średnio-wiecznym misterium. Olivier Messiaen tworzy takie misterium nazywając je „Legendą św. Krzysztofa”. W trzech aktach i ośmiu obrazach muzyka dawnych tradycji formy wokalnej i gregoriańskiej monodii łączy się z przedziwnym spletem ze współczesnym eksperymentem. André Caplet też nie pozostaje w tyle. W jego piętnastoo obrazowym oratorium: „Le Miroir de Jésus” napisanym w 1923 roku jeden głos główny, trzy głosy dziecięce, chór żeński i chór dziecięcy wnoszą polifonálne pienia pełne ustawicznych tarć dysonansowych na prymitywnym tie... dwóch harf i kwintetki.

Wpływ eksperymentu zostawia ślad nawet na muzycznej formie mszy. Powstają nowoczesne, skrócone msze obejmujące jedynie Kyrie, Sanctus, Benedictus i Agnus Dei. Gabriel Fauré jakby na przekór obowiązującym zasadom kościelnym o wylączeniu kobiet ze śpiewu liturgicznego tworzy „Messe basse” właśnie na solowe i chóralskie głosy kobiece z towarzyszeniem organów. Jeszcze dalej idzie Tomasi komponując mszę świecką według tekstu Verlaine’a.

Różnorodny muzyki, nowe jej kierunki i sugestie częściowo tylko znalazły aprobatę w kodeksie praw muzyki kościelnej. W sprawie tej wypowiedział się niedawno, bo w końcu zeszłego roku Papież Pius XII w następujących słowach: „pragnąc scharakteryzować sytuację, w jakiej katolicka muzyka kościelna znajduje się dziś po upływie 50 lat od ukazania się „Motu proprio” św. Papieża Piusa X, trzeba z jednej strony podkreślić wierne

przestrzeganie istotnych zasad muzyki kościelnej zachowujących swą ważność w każdym okresie dziejowym. Z drugiej strony wszakże należy mieć na uwadze konieczność rozwoju, do którego każdy organizm ma prawo, który nie tylko utrzymuje go przy życiu, lecz nadto pozwala mu udoskonalać jego właściwości. Stąd rodzi się postulat: nie wolno zmieniać zasad, które wobec swego istotnego charakteru zachowują stale swoją ważność; należy natomiast dążyć do ich ciągłego rozwoju nadając im nowe formy zewnętrzne i przystosowując je nieustannie do bieżących okoliczności i potrzeb...”

Broniąc więc żelaznych praw muzyki kościelnej, Kościół birmi świętości liturgii, której muzyka stanowi część nierozdzielną. Tak było w okresie wczesnej polifonii w walce z inwazją dyskantów, barwowych melizmatów, ozdób i ustawek koloraturowych zamieniających muzykę mszy czy motetów w popis wirtuozerii kompozytorskiej. Tak było w ostatnim stuleciu z wystąpieniami Kościoła przeciwko szukającym efektu, koncertującemu charakterowi muzyki liturgicznej. Tak jest także i dziś.

Kodeks prawa współczesnej muzyki kościelnej nadal pielęgnuje i za najdoskonalszy w liturgii uznaje śpiew ludzki, choć silny wpływ twórczości świeckiej wyeliminował wylączenie wokalistyki z twórczości kościelnej. To prawda, że organy, a także skrzypce, altówka, wiolonczela czy kontrabas znalazły stałe miejsce w kościelnym chórze. Znalazły je także z pewnymi zastrzeżeniami flet, klarnet, fagot, trąbka i obój. Na tym jednak kończą się ustępstwa. Ani „krótki instrumentów” — fortepian, ani tak chętnie przez kompozytorów dzisiejszej doby używana perkusja, nie zostały dopuszczone do udziału w muzyce kościelnej. Ten sam los spotkał i inne niemniej modne instrumenty. Harfa, carillon, celesta, gitara, cytra, baskijskie tamburino, trianguł, ksylofon czy wirginał wylączone zostały z twórczości liturgicznej.

Nie usunięto ich natomiast z utworów obejmujących treść religijną, a nie przeznaczonych do wykonywania w kościele. Muzyka religijna bowiem, to nie tylko twórczość liturgiczna i kościelna. Wiek XX przyniósł żywy rozwój muzycznych poematów religijnych, legend o świętych, mistycznych obrazów i opowieści. Kompozytorzy niekrepowani tu zasadami, z jakimi mieli liczyć się musieli w stosunku do muzyki liturgicznej, rozwinieli na polu poematów religijnych pomyślność stojącą na granicy eksperymentu i absurdu.

Bozza na przykład przepiółł wie- logłosowe śpiewy chórów deklama-

cją tekstu Flauberta. Zwrócono się do najbardziej wyrafinowanych zestawów instrumentów. Powstała stąd synteza tradycji gregoriańskich ze współczesnym atonalizmem, dziwaczne powiązania głosów ludzkich z kotłem, bębmem, gongiem, talerzem czy różnego rodzaju grzechotkami. Zrodziły się nieznane dotąd urażenia i efekty. Gorzej jednak, że w konsekwencji tego zjawiska znaleźli się kompozytorzy, którzy nie bacząc na charakter i cele muzyki kościelnej starali się przenieść wspomniane efekty także na grunt twórczości liturgicznej.

Z takimi tendencjami Kościół rozpoczął zdecydowaną walkę. Rozporządzenia zabroniły wykonywania w świątyniach podobnych kompozycji. Na II Międzynarodowym Kongresie Katolickiej Muzyki Religijnej, który obradował w Wiedniu w październiku ubiegłego roku, wystąpiono z wnioskiem o wprowadzenie indeksu takich niepożądanych utworów. Zaapelowano zarazem do kompozytorów o muzykę prawdziwie piękną, odpowiadającą powadze świętych obrzędów, godną wykonywania w czasie największych uroczystości.

Przeszłość wykazała, jak doskonale może być muzyka organowa. Od wielu lat organy stały się głównym przedstawicielem instrumentalnej muzyki kościelnej, od wielu lat odgrywają w liturgii rolę równą niemal śpiewom chóru. Właśnie w tym kierunku pójść powinny zainteresowania kompozytorów. Organ są instrumentem o olbrzymich możliwościach. Wielką burzę protestów wywołał niedawno fakt wprowadzenia do niektórych kościołów wynalazku tzw. „organów elektronicznych”.

Tak więc pewne ustępstwa wprowadzone na rzecz muzyki instrumentalnej nazwać można słowami Papieża „przystosowaniem do bieżących okoliczności i potrzeb”. Ustępstwa te choć naruszają stare prawa o wylączeniu muzyki wokalnej, w liturgii katolickiej uznane zostały za zgodne z jej powagą i świętością. Trwałość muzyki kościelnej nie polega bowiem na kurczowym trzymaniu się schematu wieloletnich tradycji. Istotną jej zasadą tkwi gdzie indziej. Niecibę skrzypce, niech będzie uwołonczela, byłoby śpiew ich harmonizował z dostojnym wstępnym, wspomagał lecz nie dominował nad liturgicznym tekstem. Muzyka towarzyszy modlitwie. Każda jej forma, każdy sposób wypowiedzi okadze się szustny, jeżeli muzyka ta osiągnie taki sposób artystycznego wyrazu, że sama stanie się modlitwą.

Poprzedni artykuł W. Gluth-Nowowiejskiego — o współczesnej muzyce kościelnej pt. „Zmierzchu muzyki a capella” ukazał się w numerze Wielkanocnym „Dziś i Jutro”.

KOBIET" Nałkowskiej

Żadzę wszystkie, jedną z najbardziej absurdalnych i wyniszczających potęg działających w obrębie naszej skazanej natury. Ow konflikt jedności z wielością zdaje się być nieunikniony; należy go wygrać albo przegrywać. I już za wcześnie oswoić się z myślą, że on niechybnie nastąpi. Nałkowska wproadziła tu jeszcze inny motyw. Okazuje się, że Joanna także zdradziła męża. Ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że miał on jakieś życie poza nią. I nawet po jego śmierci nie mogła sobie wspominać o tym wiarołomstwa darować. Dopiero kiedy ją opuścił, jej własna wina w porównaniu z tamą jak gdyby trochę zmalała.

Lecz znacznie ciekawsza od tej nieszczytliwej wdowy okazuje się w ostatnim akcie niesłabnąca córka jej męża, osiemnastoletnia Ewa Laszłówna. To ona przychodzi do żony swego ojca po pieniądze. Ma na utrzymaniu chorego brata i matkę, jest pewna, że Krzysztof coś chyba przed śmiercią dla swojej drugiej rodziny zostawił. I — krótko mówiąc — zgłasza pretensje do udziału w spadku. Tymczasem okazuje się, że nieboszczyk prócz długów nie ma swoim najbliższym nic do przekazania i że to całe spotkanie dwóch dotychczas nie wiedzających o sobie rodziny było straszliwie bolesne i całkiem niepotrzebne. Okrutny bezsens staje się tu wykładnikiem niedorzecznej koncepcji istnienia, pozabawionej struktury moralnej. Pod koniec całej uwagi widzów koncentruje się na osobie Ewy, ponieważ w jej biografii, jak gdyby na nowo działaczka zaczyna ją siły, które spowodowały powstanie ukazanego tu dramatu. I w niej także, podobnie jak kiedyś w jej matce, kocha się człowiek żonaty. Laszłówna jest od niego zależna finansowo, bo to jej dyrektor. Wie dobrze, że gdyby z nim zerwała, nie zdobyłaby pieniędzy ani na sanatorium dla chorego brata, ani dla niedożywłej jej matki. Mimo to chce się od niego uwolnić, bo preraża ją nie tyle materialny aspekt całej sprawy, co fakt, że ona nieestetycznie kocha go i przez to skazywała się sama na bezradność, nielegalny związek bez żadnych perspektyw na przyszłość. Raz jeden próbuje wyjść poza to złe przesądzenie i zwraca się do żony swego ojca o pomoc — jak wiemy, bez rezultatu. I ten fakt ostatecznie przesądza o całym jej losie. Już widać, że Ewa z tej sytuacji nie wybrnie. Jest ekonomicznie i uczuciowo zderminowana w sposób jednoznaczny, a zaden motywy natury religijnej nie wchodzi u niej w rachubę. Z tą chwiał fatalną krąg się zamyka. Obserwujemy tu narodziny tragedii dopiero co zakonczony, a ten powrót do punktu wyjścia jest znakomitą pointą dramatyczną.

Tylko... trochę nam przytkro pomnieć, że umarli stają się żywi w momencie, gdy wychodzi na jaw to, czegośmy o nich za życia wcale nie wiedzieli. Ta sztuka ukazuje nam tajemnicę wylaniająca się, jak niedyś mówiono: zza grobu, a to jest motyw bardzo prawdziwy i groźny. Z niego przecież wywodzi się owa namiętność do coraz głębszego sondowania zyciorysów pozornie już zakończonych i martwych. Historycy wszystkich czasów dobrze o tym wiedzą, że nikt nie jest wiadomy i znany w całości. Co kilkadziesiąt lat znajduje się przecież nowe przyczynki i dokumenty, i następuje rewizja niekończąca się nigdy procesu żywych i umarłych — nowe przelasowanie kart i... zmiana punktu widzenia.

ALe słuchając tej sztuki, czytelnicy i wielbicieli talentu Nałkowskiej natychmiast przypomnieli sobie inny jej utwor, jak gdyby epicki odpowiednik „Domu kobiet”. Sład też w antrakcie raz po raz wymieniano jej powieść „Niecierpliw”. Ktoś nawet zaryzykował twierdzenie, że dopiero znajomość tych obu dzieł razem wziętych umożliwia ich prawidłową ocenę, gdyż są one ze sobą głęboko i organicznie sprzężone. Czyżby naprawdę łączyła je wspólna koncepcja? Wróćmy do domu, od razu postanowiliśmy do sprawdzenia. I wtedy wyszło na jaw, że sztuka dobrego pisarza istotnie osiąga swą pełnię w rodzaju najbliższym jego zdolnościom i zamiłowaniu. Bo jak mówi Gilson: czasami wystarczy uchwycić jedno ogniwo, aby pociągnąć ku sobie cały łańcuch automatycznie już wyzwolonych skojarzeń. A to stało się właśnie w tym wypadku. Odezwijając na nowo dzieło „Niecierpliwych” pojąłem, że perspektywa wiodąca stąd w głąb „Domu kobiet” stała się wyrazista i jasna. I to nie ze względu na temat. Bynajmniej! Te podobieństwa, jeżeli nawet istnieją, muszą tu okazać się złudne. W powieści mamy do czynienia z inną sytuacją. Tak. Ale z podobnym klimatem. Ze znaną nam już z teatru fatalistyczną przemianą losu ludzkiego. I z identycznym niemal sposobem widzenia wszystkiego od końca, czyli od strony finału. Ta metoda jest godna uwagi. Zdumiewają nas jej rezultaty i konsekwencje poznawcze. Nie łączy tu przecież tylko o popis znacząco technicznej, gdyż technika służy tu... No właśnie! Czemu — zapyta czytelnik,

Czyżby tych treści nie dało się wyśłowić zwykłym trybem, to znaczy: w przykładowej zgodzie z chronologią? Nie! Po stokroć — nie. Zaraz wyjaśnię podstęp... I w tym celu sięgnę do podstawowej tezy „Niecierpliwych”. Powiem, dzięki komu oni w tej książce istnieją. Nie istnieją wcale — odpowie mi z punktu zaprzysiężony wielbiciel i znawca przedziwnego tekstu. Co więcej: będzie upierał się przy tym, że niemal wszyscy nazwani tu po imieniu, w momencie gdy ich wspomniano, dawno jakoby umarli. Dobrze, lecz w takim razie: gdzie jest właściwie znajdują? I jakie jest przedziwne to ich egzystencje? Nie uwierzycie mi chyba, gdy powiem, że autorka umiejscowiła postacie swoich bohaterów w pamięci ożywiałego ich w pewnym sensie Jakuba. Tylko niech się nikomu nie żoaje, że on ich po prostu wspomina. To nie byłoby wcale odkrywcze i ważne. Ci zmarli rzeczywiście robią wszystko, aby w tym człowieku na nowo zaistnieć. Ow Jakub zawiera i mieści ich w sobie. Staje się żywym komentarzem. I ostaną instancją życia pozagrobowego, oczywiście w porządku doczesnym. Cóż robić? Innego tu nie ma... Proszę, zechciejcie posłuchać, w jaki sposób egzystują w pamięci bohatera:

„Można powiedzieć, że wszyscy ci ludzie w pewnej mierze składali się nań. Nie dlatego, że byli między nimi jego przodkowie, dziadek Fabian, matka, młodo zmarły wuj Staś i ten drugi, nigdy nie widziany wuj Adam, Wystarczyło bowiem już to samo, że wiedział coś o nich, że przychodzili mu na myśl, że ich pamiętał.

Widocznie bardzo pragnęli żyć, chociaż niekorzy — ci niecierpliw — sami przecieży życia się wyrzekli. Krzewili się wewnątrz niego jak kolonie mikrobrów, żyli nim. To było nieprzyjemne. Myślał nieraz, że jest nim napełniony po szyję, że ma ich po uszy. Chodziło o dawno minione sprawy, których nie zdążyli załatwić i które przestały być aktualne. Ale wciąż jeszcze usiłowali wciągnąć go w swoją matnię.

To przykre wrażenie dotyczyło nie tylko umarłych. Ale oni byli szczególnie natarczywi. Jakub odkrywał wciąż nowe sposoby, na które brali się, aby żyć. Na razie i ten drugi, nigdy nie widziany wuj Adam, Wystarczyło bowiem już to samo, że wiedział coś o nich, że przychodzili mu na myśl, że ich pamiętał.

Wychodzili ku niemu z niego samego, powiększali się z każdą chwilą, jak zblizone twarze aktorów filmowych na ekranie. W ich skórze dostrzegał pory, włosy, brwi i rzęsy robili im się twarde jak druczki. Wychodzili ku niemu, wysuwając swoje żale, racje i pretenzje, żądając zadośćuczynienia. Zjawili się nawet jako cudze wspomnienie, rozsiadali się szeroko, obrastali w mnóstwo skojarzeń, biorąc je na swoje dobro, żywiąc się nieraz późniejszym materiałem innych wkładów. Istniały tak w Jakubie całe jakby epoki cudze, całe tereny zwiolów wtórnych, odwrotnych, sztucznie karmionych, czujących się dobrze i swojo w jakiejś fałdziej pamięci, zawsze gotowych do tego, aby nagle wskrzeszać. Wyszarpnięte z niewiedzy, dawały o sobie znać naprzód tylko zaledwie jakby powiewem, barwą, pojedynczym ciepłem trupiego życia, przytulonego tam na zawsze”.

Ci, co tylko pozornie odeszli, wciąż dzięki bohaterowi istnieją i pasozytują na nim, a przebywając w polu jego świadomości żyją kosztem jego substancji psychicznej. Mało tego! Stają się nim samym. Ten Jakub składa się cały z cudzych egzystencji. Zmarli rzeczywiście odnajdują w nim swą wielką szansę pośmiertną — jedyną możliwość przetrwania.

W stworzonym tutaj kręgu wyobrażeń, zamykającym się w porządku doczesnym, każdy w jakis sposób udziela swym zmarłym częsteckiej witalności własnej. Jest dla nich niebem i piekłem, miejscem, gdzie mogą się krzewić i wegetować wbrew prawom natury. I tu już w żadnym wypadku nie można mówić o konsekwentnym, czystym realizmie. To jest wyraźne przekroczenie granicy gatunku — przejście na drugą stronę. Widzimy, jak w tym momencie ciasno pojęta konwencja kruszy się i pęka, bo przestaje autorce wystarczać. Tak. Sztuka istnieje dzięki tajemnicy. Wszak bez niej byłaby niczym. Artysta nie może poprzestać na tym, co każdy może zobaczyć. I zgodzimy się, że w tej powieści wielka realista z ogromną siłą zwraca się ku czemuś, w co nie dane jej było uwierzyć. Nałkowska nie jest w

stanie pogodzić się z absolutną nicością człowieka, bez reszty pochłoniętego przez czeluści grobową. I dlatego przedłuża jego egzystencję, stwarza dla niej ujście w kolektywne podświadomości pokoleń. I cóż z tej adlerowskiej koncepcji wynika? Że trzeba bronić się przed nadmiarem cudzego życia, które już bezwrotnie minione wciąż napomyka o sobie i szuka okazji, aby już na dobre moc zakorzenić się i wezbrać w nas?

W antrakcie padło pytanie, czy te dwa utwory są dla Nałkowskiej typowe, a w jej dorobku ważniejsze i lepsze od innych? I czy wolno twierdzić, że one właśnie najlepiej ją wyrażają? Że najwięcej mówią o strukturze jej osobowości? Są to niedyskretne i kłopotliwe pytania, po części nawet — niefortunne. Podyktowała je jakaś wielka natarczywość, której na dłuższą metę nie potrafimy się oprzeć. I choć Jastrun niedawno tłumaczył, że autor cały zawiera się w dziele i nie ma poza nim nic do powiedzenia, to jednak ta bardzo rygorystyczna konkluzja wywołuje w nas pewien niedosyt. Dla wielu dzieło jest komentarzem do fascynującej biografii twórcy. To bardzo źle — odpowiem. Tego wściństwa należy się wytrzeć, uznać je za bezsensowne i zbędne. A Boy? Czy mógłby bez niego istnieć? Gdyby was posłuchał, niewiele zdołałby odkryć. Na szczęście zawierzył siebie ciekawości i psji poznawczej. Tak. Z ciekawością ludzką uporad się wcale nie łatwo. Czytelniczki chcą wiedzieć, jaka była Nałkowska na codzień i jak oddziaływała na środowisko literackie, nie tylko w okresie międzywojennym, ale i w latach ostatnich. Krótko mówiąc: do magają się psychologicznego portretu pisarki. I mają się prawo spodziewać, że ci, co dobrze ją znali, nie wykpiją się jakimś nie znaczącym milczeniem. Oczywiście, w ramach przygodnej recenzji nie spełnimy tych słusznych wymagań. Myślę, że wystarczy tu po prostu krótko zasygnalizować, że taka potrzeba istnieje.

I wcale nie byłbym za tym, by lekceważyć pytania nawet pozorne i naiwne, a mimo to przecież świadczące o bezposrednim i żywym wiodaciu do tej bliskiej nam wszystkim postaci. Wszak ten ó świeżo wrośniety w niedostępną mu dawniej dziedzinę wielkiej kultury chciałby się dowiedzieć, czy ta autorka była taka smutna, jak jej powieści i sztuki teatralne? I pewnie się zdziwi, gdy mu odpowiem, że to często pesymistyczne i gorzkie sagi o życiu prawdziwym wyszły spod pióra osoby, której na ód wszystko się udawało. W historii literatury polskiej rzadko spotkać można kogoś tak hojnie obdarzonego przez los niezmiennie dla niej taskawą. Przeczyła kilka epok literackich, a nie związała się z żadną. Młoda Polska nie ukształtowała mentalności tej chłodnej i powściągliwej istoty, krytycznej wobec wszystkiego, co dane jej było doświadczyć. Przybyszewski i Ziemiński nie zawazyli na niej. Siemkiewiczca ojciec nauczył ją lekceważyć, a to, czego w literaturze sama dokonała, było przeciwieństwem jego burzliwej i sugestywnej narracji. Nie uważała za stosowne interesować czytelnika fabułą i biegiem zdarzeń. Elementy — skądinąd nader istotne — uchochodyły w jej przekonaniu za najwyraźniej podrdzene. Umiała się bez nich obejść, a mimo to osiągnąć świetne rezultaty. Niezawodne poczucie umiaru ustrzegło ją od egzaltacji późnego okresu moderny. Doskonala okazała się jej obojętność wobec witalistycznych tendencji Skamandra. Jej związki z obozem legionowym były towarzyskie i powierzchowne. Uznali ją w całej pełni, a ona potraktowała ich z ironiczną grzecznością. Te węzy życia nie okazały się trwałe. Oszdyla ich tak, jak nikt inny — chyba raz na zawsze. Dla młodych jej proza była uosobieniem psychologicznej precyzji, nieprześcignionej zwięzłości i niemal klasycznej koniczności wyrazu, przeciwstawionej został — i słusznie — ekspresjonistycznej manierze Kadena, Chorońskiego i Schuiza. Nałkowska interesowała głównie to jedno zasadnicze i podstawowe pytanie: Dlaczego o danej rzeczy muszę sądzić tak a nie inaczej? Nieczym jest moje myślenie, jeśli do końca nie pojmę, przez co zostałam uwarunkowana. Chcę wiedzieć, co mnie krepuje i ogranicza. Czemu bezwiednie ulegam. Dlatego czujnie sprawdzała swe determinanty w każdej sytuacji. Pisząc, nigdy nie chciała nikogo pouczać. Poczytywała to za objaw żalobnej śmieszności, gdy pisarz jakiś dawał do poznania, że z racji wykonywanego przez siebie zawodu uważa się za mądrzejszego od swych czytelników. My możemy im przedkładać tylko nasze propozycje i nie ma żadnego powodu przypuszczać, byśmy pod jakimkolwiek względem musieli wiedzieć więcej od nich. Przeciwnie. To my ciągle uczymy się od społeczeństwa. I naszą rzeczą jest przekazać mu treść jego zbiorowych doświadczeń w możliwie najdoskonalszej postaci.

Stanisław Staszic. Pisma społeczne i filozoficzne (1735 — 1826). Warszawa 1954 r. Państwowe Wydawnictwa Naukowe.

PISMA te nie obejmują oczywiście całej spuścizny Stanisława Staszica. Tom I zawiera Krótki rys mego życia, Uwagi nad życiem Jana Zamoyckiego i Przerogi dla Polski, a tom II (Ród i Wzrost) przedziwny i wielki wzniołość z zamieszkałością i wielkimi skrótnymi Wzrost do przekładu Epok natury Buffona, Narodowość, pionierską pracę z dziedziny statystyki — O statystyce Polski, Myśli o równowadze politycznej w Europie oraz wyjątki treści filozoficznej z innych dzieł. Staszic nie jest to całość dorobku Staszica, umożliwiało zapoznanie się z najważniejszymi jego dziełami tudzież z jego postawą, jako myśliciela i polityka. Na tym — przede wszystkim — polega wartość omawianego wydawnictwa.

Na działalności pisarskiej i poczynaniach praktycznych Staszica odcięliśmy swe piętno rzeczywistości okresu przedziwnego, kiedy wielki rozkład swobodny polski feudalizmu wypierany przez rozwijające się zwolna stonki kapitalistyczne. Już w jednym z wcześniejszych swych opracowań, jakim był Wzrost do przekładu Epok natury Buffona (1789), Staszic zgodził się z tendencjami wczesnego mieszczaństwa wystąpił jako zwolennik racjonalistycznych metod poznania, rozciągając je także na zagadnienia moralności. W dziedzinie filozofii przyrody był rzeczniikiem poglądu, wedle którego „wszystko jest jednością”. W ramach tej jedności — jak pisał w Ziemiorodztwie — zachodzą wszelkie zmiany: jedne istoty przestają być w drugie, a materia martwa przekształca się w organizmy żywe. Starał się odkryć prawa rządzące tymi zjawiskami i wypowiedział przy tym wiele ciekawych i oryginalnych myśli.

Założenia filozofii społecznej Staszica mamy również w opracowaniu, wczesniejszego, pod tytułem Wzrost do przekładu (1790), ale pełne ujęcie tej dziedziny znajdujemy w najgłębszym dziele myśliciela polskiego, tj. w Rodzie 1813—1820. Tutaj podjął Staszic m. in. próbę przezwyciężenia koncepcji prawa natury, której holdował poprzednio, i zastąpienia jej historycznym traktowaniem zjawisk społecznych. Krocząc tą drogą, dostrzegł niejednołitość w budowie społeczeństwa, rozbił je na warstwy klasowe i wywodził je z różnych przyczyn. Wyciągnął stąd daleko idące, jak na owe czasy, wnioski, stając się rzeczniikiem wywołania warstw uścisanych i wskazując społeczeństwu, pozostającym do czasu podległym i nieświadomym, klasowemu i wywołane przez nie walki i starcia. Wyciągnął stąd daleko idące, jak na owe czasy, wnioski, stając się rzeczniikiem wywołania warstw uścisanych i wskazując społeczeństwu, pozostającym do czasu podległym i nieświadomym, klasowemu i wywołane przez nie walki i starcia. Wyciągnął stąd daleko idące, jak na owe czasy, wnioski, stając się rzeczniikiem wywołania warstw uścisanych i wskazując społeczeństwu, pozostającym do czasu podległym i nieświadomym, klasowemu i wywołane przez nie walki i starcia.

Mimo to program społeczno-polityczny Staszica określić trzeba jako umiarkowany odznaczający się pewną kompromisowością. Wywodził to może stąd, że autor ten, choć sam był mieszczańskim, wobec słabości mieszczaństwa w Polsce pragnął dla swych poczynaniach pozyskać średnią szlachtę i chciał w oparciu o klasę szlachecką, przetrzymać i wzmocnić administrację i gospodarkę oraz poprawić sytuację chłopów. Program ten skierowany był głównie przeciw magnaterii, co odczuwa się wyraźnie w Uważach i Przerogach. Staszic żąda parcelacji dóbr magnackich. Natomiast postulatu zniesienia pańszczyzny wyraźnie nie wysunął, domagając się jedynie złagodzenia jej i zabezpieczenia chłopów przed samowolą panów. Gdy z obojętności przekonano się, że nawet ten umiarkowany program chłopski nie będzie urzeczywistniony, postanowił śmiało zmanifestować swe stanowisko i całkiem uwolnił chłopów w swych dobrach, pod warunkiem, że żyją stynną Fundacją Hrubieszowską.

W dziedzinie ściśle gospodarczej przeciwstawiał się Staszic rozbiciu ekonomicznemu Polski, opowiadał się za jednolitym rynkiem ogólnonarodowym. Za przeprowadzenie reform skarbowych i stworzeniem warunków dla wydajnej pracy, która by zwiększyła bogactwo narodowe.

Przeżyłom rozbiorem oraz nasuwającym się z nich wnioskom dał wyraz w swoich rozmyślaniach nad losami narodu i nad kształtowaniem się dzieł ludzkich. W związku z tym pozostał poważnie przychylny do mieszczańskiej koncepcji narodu i racji stanu, połączonej z żądaniem niepodzielności terytorium narodowego i ideałem państwowości praworządnej. Zagadnieniom między narodowym poświęcił zwłaszcza pracę pt. Myśli o równowadze politycznej w Europie (1815), gdzie wskazał grożące Polsce niebezpieczeństwa i możliwości jej sprzyjające. W zawartych tutaj i gdzie indziej rozważaniach na te tematy popieł kolonialną politykę Anglii i wypowiedział myśli o międzynarodowej solidarności ludzi doznających ucisku. Rozróżnił też wojny zaborcze od wojen mających na celu uwolnienie się od przemocy.

Jako całość filozofia Staszica wiazala się z mieszczańską filozofią Oświecenia. Zgodnie z ówczesnym ogólnym nastawieniem odznaczała się daleko posuniętym optymizmem i ufnością w moc ludzkiego rozumu. Innymi słowy, była pierwszym w Polsce racjonalistycznym ujęciem świata i podstaw społecznego współżycia.

W. K.

„Fotografia majowa”. Narzuca się nam od razu radosny, wiosenny, skrzący się od słońca obraz. Spodziewamy się go tym bardziej, że powieść a raczej dzieło opowiadania Domenico Rea, pod tym właśnie tytułem — mówi o latach dzieciństwa. A kiedyż to, jeśli nie w dzieciństwie świat jest piękny, kolorowy i radosny? Tak przynajmniej przywykliśmy sądzić... I oto lektura opowiadania przynosi zawód. Fotografia jest wyraźna, ostra, ale ciemna i... smutna.

„Wszyscy chłopcy z pierwszego rzędu byli dobrze ubrani, uczesani, wyświeżeni i razem z nauczycielem tworzyli odrębną grupę, niezależną, najlepiej naświetloną, pomiędzy nimi a drugim rzędem, bardziej słocznym i nieukazanym w całości zdawała się istnieć jakaś przegrada, coś, co tamtych zatrzymywało, lam w głąb... Ale chłopcy z trzeciego i czwartego rzędu — nieruchomi, sztywni i ponury — nie mieli w sobie nic a nic z dziecka. Od dawna wiedzieli, jakie jest ich miejsce w klasie czy na podwórzu, i odruchowo już stawali na tych w swoim rodzaju ławach oskarżenia”.

Tych kilka zdań przedmowy daje dostateczne pojęcie o „Fotografii majowej”. Na kartach tomiku znajdujemy gorzką prawdę o rozwiązaniu klasowym wśród najmłodszych nawet, bo uczniaków pierwszej klasy szkoły podstawowej. Widzimy sytą obojętność, wyniosłe samozadowolenie jednych i wstydliwą nędzę, poniżenie, odebraną godność innych. Książka jest kapitalnym zresztą przekrojem przez mały światek pięćdziesięciu chłopców pochodzących z różnych warstw społecznych. I, tych, których odwozi co rano do szkoły limuzyna, i tych, których starają się „przepchać” przez lata nauki ledwymi wiązkami „koniec z końcem”, drżący przed deklacją rodzice, i tych wreszcie, którzy sami muszą dbać o swoją okrytą łachmanami skórkę.

Scenki z życia szkolnego oddane są trafnie. Głupota, okrucieństwo belfrow, nienawistna rywalizacja lub obudna „grzeczność” uczniów świadomych już od pierwszego dnia wstąpienia w społeczność szkolną — swego w niej i w każdej innej społeczności miejsca... Klimat opowiadania nie jest z pewnością „wiosenny”. Czytelnik buntuje się. Jak to? Spodziewał się wrzuszających (z sentymentem, z „lezką”) obrazków z dzieciństwa w rodzaju „Serca” Amicia czy może „Zegara słonecznego” Jana Parandowskiego. A tymczasem...

Książka jest odbarwiona z dzieciństwa. Nie ma w niej „ani za grosz” humoru, beztronskiego żartu. Dzieci „sfotografowane” przez Domenico Rea nie próbują nawet robić tak naturalnych dla swego wieku psikusów swoim ponurym nauczycielom, nie krzyczą na pauzach — są jakoś wewnętrznie martwe, przygaszone.

Pisarz ukazał wiernie życie przeciętnej szkoły włoskiej — od strony socjologiczno-ekonomicznej. Można mu czynić słuszne zarzuty, że ukazał jeden tylko wymiar, że „Fotografia” nie jest pełną fotografią. Autor bowiem opuścił całe — i to ważne — regiony chłopięcego życia.

Domenico Rea: Fotografia majowa. PIW, Warszawa 1954.

NAJPIERW parę informacji o autorze. Domenico Rea* jest jedną z najciekawszych indywidualności pisarskich współczesności Włoch. Za wydaną w roku 1950 powieść obyczajową z życia

ubogich mieszkańców Neapolu pt. „Jeżu uczyn światło” — otrzymał najwyższą nagrodę literacką swego kraju: „Premio Vareggio”. Zależą tego pisarza, jako pisarza kierującego swe twórcze zainteresowania w określonym kierunku — jest oryginalnie pojęty i stosowany realizm, autentyzm przeżyć i obserwacji. Zawarte tu i ówdzie w jego utworach natoly naturalizmu równoważone są dążeniem do psychologicznego pogłębienia opisywanych postaci i sytuacji.

„Fotografia majowa”. Narzuca się nam od razu radosny, wiosenny, skrzący się od słońca obraz. Spodziewamy się go tym bardziej, że powieść a raczej dzieło opowiadania Domenico Rea, pod tym właśnie tytułem — mówi o latach dzieciństwa. A kiedyż to, jeśli nie w dzieciństwie świat jest piękny, kolorowy i radosny? Tak przynajmniej przywykliśmy sądzić... I oto lektura opowiadania przynosi zawód. Fotografia jest wyraźna, ostra, ale ciemna i... smutna.

„Wszyscy chłopcy z pierwszego rzędu byli dobrze ubrani, uczesani, wyświeżeni i razem z nauczycielem tworzyli odrębną grupę, niezależną, najlepiej naświetloną, pomiędzy nimi a drugim rzędem, bardziej słocznym i nieukazanym w całości zdawała się istnieć jakaś przegrada, coś, co tamtych zatrzymywało, lam w głąb... Ale chłopcy z trzeciego i czwartego rzędu — nieruchomi, sztywni i ponury — nie mieli w sobie nic a nic z dziecka. Od dawna wiedzieli, jakie jest ich miejsce w klasie czy na podwórzu, i odruchowo już stawali na tych w swoim rodzaju ławach oskarżenia”.

Tych kilka zdań przedmowy daje dostateczne pojęcie o „Fotografii majowej”. Na kartach tomiku znajdujemy gorzką prawdę o rozwiązaniu klasowym wśród najmłodszych nawet, bo uczniaków pierwszej klasy szkoły podstawowej. Widzimy sytą obojętność, wyniosłe samozadowolenie jednych i wstydliwą nędzę, poniżenie, odebraną godność innych. Książka jest kapitalnym zresztą przekrojem przez mały światek pięćdziesięciu chłopców pochodzących z różnych warstw społecznych. I, tych, których odwozi co rano do szkoły limuzyna, i tych, których starają się „przepchać” przez lata nauki ledwymi wiązkami „koniec z końcem”, drżący przed deklacją rodzice, i tych wreszcie, którzy sami muszą dbać o swoją okrytą łachmanami skórkę.

Scenki z życia szkolnego oddane są trafnie. Głupota, okrucieństwo belfrow, nienawistna rywalizacja lub obudna „grzeczność” uczniów świadomych już od pierwszego dnia wstąpienia w społeczność szkolną — swego w niej i w każdej innej społeczności miejsca... Klimat opowiadania nie jest z pewnością „wiosenny”. Czytelnik buntuje się. Jak to? Spodziewał się wrzuszających (z sentymentem, z „lezką”) obrazków z dzieciństwa w rodzaju „Serca” Amicia czy może „Zegara słonecznego” Jana Parandowskiego. A tymczasem...

Książka jest odbarwiona z dzieciństwa. Nie ma w niej „ani za grosz” humoru, beztronskiego żartu. Dzieci „sfotografowane” przez Domenico Rea nie próbują nawet robić tak naturalnych dla swego wieku psikusów swoim ponurym nauczycielom, nie krzyczą na pauzach — są jakoś wewnętrznie martwe, przygaszone.

Pisarz ukazał wiernie życie przeciętnej szkoły włoskiej — od strony socjologiczno-ekonomicznej. Można mu czynić słuszne zarzuty, że ukazał jeden tylko wymiar, że „Fotografia” nie jest pełną fotografią. Autor bowiem opuścił całe — i to ważne — regiony chłopięcego życia.

Redaguje Zespól Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartał 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 63, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wplaty na prenumeratę przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakładu Drukarskie i Wklesodrukowe RSW „Prasa” Wława Marszałkowska 8,5 Zam. nr 1556 B-6-17990

DZIS I JUTRO 7

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie powtórzenia bez zgody wydawnictwa są surowo zakazane. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Wszelkie zmiany w cenie i w programie bez wypowiedzenia.

WIELKA SZTUKA I ODKRYWANIE AMERYKI

KTOŚ bardzo pracowity mógłby — w przystępie chwilowego szaleństwa — sporządzić mapę malarską całego świata. Zobaczyłby wtedy, że na obszarach pozbawionych pełnego kontaktu z otoczeniem, izolowanych i oddzielonych od wielu dostępnych źródeł, zachodzi bardzo dziwne zjawisko. Przy pierwszym rozluźnieniu izolacji następuje masowe odkrywanie malarskiej Ameryki. Dziesiątki kolumbów ławicą wyruszają na podbój nieznanego świata. Wojowniczy kolumbowie nie tyle rozwalają głową mur, co wyważają — tą samą skołataną głową — dawno usunięte drzwi.

Chodzi się po salach Wystawy Konkursowej na Festiwal i co chwila ogląda starych znajomych. Trochę się zmienili, zmarnieli, stracili swój wdzięk, ale przecież są. Patrząc — a tu Guttuso, idziesz parę kroków dalej — tam Meksykanie, jeszcze dalej — Ben Shan. Są prze-fabrykowani francuscy abstrakcjonści, niemieccy ekspresjonści, amerykańscy surrealiści. Wreszcie Warszawa ma galerię współczesnej sztuki. Salata „po warszawsku”.

Chcieliście malarstwo — to je macie. Jest bardziej zachodnie od zachodnich wzorów. Jest świetnym sprawdzianem dopływu oryginalnych zagranicznych obrazów, a jeszcze bardziej książek i — żarliwie wykorzystywanych — reprodukcji. Jest przede wszystkim sprawdzianem fałszywej polityki kulturalnej, która polegała na odcięciu od wszystkiego, co wydawało się zacofane.

Z zachodniego malarstwa zrobiono pierwszy grzech główny, zakazany owoc. Podniesiono tym samym jego atrakcyjność. Ci, którzy to zrobili, nie przypuszczali nawet, ile dobrego zrobią dla propagandy tej sztuki.

Mimo to wystawa nie jest zła. Jest trochę śmieszna, bo ma epigoński charakter, ale na tle przeciętnego nudziarstwa powszechnie uznanych mistrzów, którzy chyba tylko bawią samych siebie i wzajemnie się chwala — jest ciekawa (bo przez cały czas szuka się wzorów, które inspirowały jakiś obraz), jest przede wszystkim różnorodna (jednak jest w Polsce dużo reprodukcji!), jest inna, wesoła i naprawdę młoda.

Trzeba przyznać, że mamy jedną niewątpliwie dobrą gałąź sztuki. Ku zmartwieniu wszystkich malkontentów. Mamy świetną grafikę. Prace młodych grafików na wystawie, to prace, które budzą najlepsze nadzieje na przyszłość. Plakaty — niestety — nie są lepsze od tych, które widzi się zwykle na ulicach. Nie mają przede wszystkim sztafki, która zniszczyła już w ciągu ostatnich lat niejednego młodego grafika. Tylko nagrody w dziale grafiki są zadziwiające. Przyznano je — z lekką przesadą — wszystkim miernotom. Najlepsze prace — to te nie-nagrodzone.

Jakie wnioski nasuwają się po obejrzeniu konkursowej wystawy? Wniosków nie ma. Jest wielka nadzieja.

MŁODZI nasi malarze są trochę zagubieni, trochę oszołomieni, że można robić malarstwo, które do niedawna nazywano formalistycznym. Świeższy wiatr, który powiał, poskręcał im trochę skrzydła. Latają nieprzytomnie, jak ptaki po burzy. Ale latają.

Co uderza na wystawie? Rzecz nie bardzo dobra. Wprawdzie jest to wystawa malarzy młodych — ale uderza pewna sezonowość ich malarstwa, pewne modniarstwo wyni-

kające nie z codziennej pracy i własnych przekonań, ale z ulegania zmiennej koniunkturze. Wprawdzie warunki w ostatnich latach nie sprzyjały stabilizacji malarskich przekonań, ale warunki się zmieniają, a sztuka pozostaje. Tej upartej, cierpliwiej, osobistej sztuki jest na wystawie za mało.

Druga rzecz, która uderza, to fakt, że to malarstwo często nie jest zdefiniowane, jeśli chodzi o odbiorcę. Malarze nie mogą się zdecydować, do kogo skierować swoje obrazy. Zaginają prywatny mecenat; mecenasem ma być cały naród. Ma być, ale nie jest. Ogromna większość obrazów przemija bez echa. Ot, ludzie przejdą, popatrzą, pokiwają głowami i pójdą dalej. Nie zabierają ze sobą żadnych wrażeń, żadnych przeżyć. Malarza często ogarnia zniechęcenie. Malarz chce wiedzieć, że znajdzie się choćby ktoś jeden, kto na jego obraz popatrzy dłużej, z przyjemnością albo z bólem; kto chciałby jego obraz mieć u siebie, patrzeć na niego stale, kochać się w nim, wzbogacić go najcenniejszym elementem — własnym szczerym, żarliwym przeżyciem. Malarz musi to wiedzieć — inaczej wisi w próżni.

Okazuje się, że ze sztuką to nie taka łatwa sprawa. To bardzo dziwne i kapryśna roślina, to nie księgowość czy produkcja obrabiarek. Same wystawy nie spopularyzują plastyki. Plastycy muszą nawiązać osobiste kontakty z odbiorcą; powinny powstać jakieś kółka miłośników plastyki, wciągające w swój obręb coraz to nowych ludzi. Musi powstać jakaś komórka, która będzie bezpośrednim, namacalnym dowodem odbioru plastyki przez społeczeństwo. Taka komórka to bodziec dla malarza.

Bardzo łatwo jest rzucić slogan: sztuka dla mas. Sztuka musi znaleźć świadomego odbiorcę i tego odbiorcę trzeba wyrobić. Inaczej zostanie przysłowiowe rzucanie grochem o ścianę. „Masy” stały się pojęciem prawie że mitycznym. Malarz maluje obraz, szuka odpowiedniego tematu, chce być obiektywny — często przestaje być sobą; kieruje obraz do mas — i nie kieruje do nikogo. Często zapomina, że masy — to ludzie.

Odbiorca musi bezpośrednio obcować z obrazem. Obraz to grzejnik, akumulator szczęścia, rzecz bliiska przez to, że zupełnie zwykła; ciepła, pożyteczna, nieodzownie potrzebna dla każdego, kto chce patrzeć nie tylko przez swoje — często niedowidzące — oczy; przynosi pożytek, jak talerz rosolu, szalik czy ciepłe pantofle.

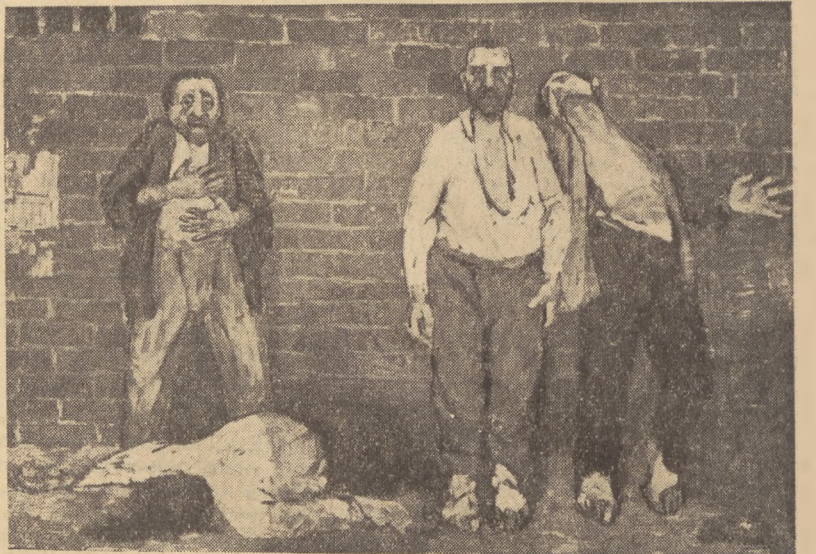
Bardzo trudno — a właściwie zupełnie niemożliwe — jest robienie rewolucyjnego, społecznego ma-

larstwa, gdy nie nosi się w sobie buntu. Bardzo trudno jest robić prawdziwie masowe malarstwo, jeśli się nie ma przed oczami przeciętnego, poszczególnego odbiorcy. Wprawdzie równie trudno go mieć przed oczami, bo jest dość nieuchwytny.

NASZA sztuka często nikomu nie służy. Cały aparat plastyki wydaje się niekiedy sztuczny i wynaturzony. Malarze utrzymują się nie z malarstwa, żyją z „robótek”, a część z nich — z bardziej intratnych „robót”. Mało mają czasu malować. To głupstwo, czas można znaleźć. Mało mają chęci malować. To jest gorsze. Malują na wystawie. Zapelniają swoimi obrazami piwnice CBWA, dostają nagrody albo ich nie dostają, wzajemnie się zwalczają albo obrzucają pochlebstwami, chwają ich w gazetach, wymyślają im w tzw. złotych (dlaczego złotych?) księgach na wystawach (już nawet to wymyślanie jest jakimś dowodem istnienia odbiorcy — odbiorcy więcej wymyślającej), potem w życzliwości od uposobienia idą na kawę albo na wódkę — i to w tym życiu. Żyją plastycznym życiem. Żyją plastycznym życiem, w tym stanie malarstwa — oprócz naturalnie zrewidowania ogromnie ważnych spraw czysto administracyjnych i finansowych — to tylko młodzi. I młodzi mają wszystkie dane po temu, żeby to zrobić. Nie potrafią się wprawdzie trzymać razem, wspólnym frontem; trudno im podjąć zorganizowaną na szerszą skalę akcję. Nie wiadomo, czy to zrobić. Ale zrobić mogą i zrobić powinni. Dwie są drogi dla działacza

Jeżeli malarz czuje, że plastyka nikomu nie jest potrzebna, że trzeba malować, bo to w każdym kulturalnym kraju malują, jeżeli malarstwo często staje się sprawą ofajkowania w indeksie kultury — to jest wielki dzwon na alarm. Obojętna plastyka — to żadna plastyka. Już lepiej drażnić i szokować, niż podawać ciepłe kluchy, których nikt zresztą nie chce jeść.

Jeżeli ktoś może dokonać wyłomu w tym stanie malarstwa — oprócz naturalnie zrewidowania ogromnie ważnych spraw czysto administracyjnych i finansowych — to tylko młodzi. I młodzi mają wszystkie dane po temu, żeby to zrobić. Nie potrafią się wprawdzie trzymać razem, wspólnym frontem; trudno im podjąć zorganizowaną na szerszą skalę akcję. Nie wiadomo, czy to zrobić. Ale zrobić mogą i zrobić powinni. Dwie są drogi dla działacza



Stefan Garwatoński — Okupacja (rozstrzeliwanie)



Danuta Reszczyńska — Dziewczęta (III nagroda).



Włodzimierz Panas — Warszawa (III nagr. w malarstwie)

JACEK SCIEŻYŃSKI

PROCES PRZECIWKO KRYTYCE

OD kilku miesięcy jesteśmy świadkami ostrego natarcia na pozycje krytyki w naszej współczesnej sztuce. W ofensywie tej, w której padł już niejeden celny pocisk grubej Berty, wzięły też udział autorytety spod znaku muzycznego Biennale. W krytyce krytyki kompozytorzy dobrali się do skóry muzykologów, ci zaś z kolei broniąc swą skórę zastosowali starą zasadę wojenną, że najlepszą obroną jest atak. W ten sposób zrodziła się dyskusja od dawna potrzebna, a tym ciekawsza, że wzbogacona pewną dozą namietności, swady i szczerości, jakie przynieść musi każda utarczka.

Rację mają kompozytorzy twierdząc, że krytycy niewiele pomogli im w pełnej niebezpieczeństwie drodze twórczej. Minione dziesięciolecie nie należało do łatwych okresów w życiu starszej i młodszej generacji muzyków. Wiele w nim było potknięć i nieporozumień, szamotaniny i błądzenia. Wiele łatwin, tandety i szablonu. Krytyka muzyczna, najbardziej powołana do wypracowania i sygnalizowania wszystkich tych nieporozumień, powołana do aktywnego udziału w rozwojowym procesie muzyki, nie odegrała w nim tymczasem w okresie powojennym żadnej niemal roli.

Złożyło się na to nie tylko niedostrzeżenie przez krytykę szeregu zagadnień muzyki współczesnej, uteczka od wnikliwej i szczerzej analizy wysiłków kompozytorów, ale także mijająca się z celem krytyki praktyka pisarska odbierająca właściwą jej użyteczność. Asekurancystwo i wygodna wstrzemięliwość w wyznaczeniu sądów, pływająca i beznamiętność — oto grzechy główne dzisiejszej krytyki. Trudno zaprawdę dziwić się Stefanowi Jarocinowskiemu, że zabierając głos w dyskusji przyrównał kompozytorów do ogierów, kryty-

ków zaś do walców. Bezpłodność twórcza tych ostatnich mogła mu nasunąć podobne porównanie. Krytyk stracił cechy sędziego na korzyść dobrodzieja, a pisarstwo jego przybrało manierę dżentelmeńskich ukłonów w stronę twórcy i wykonawcy. Weźmy dla przykładu programy koncertów symfonicznych filharmonii. Czy te fachowe elaboracje nie przypominają czasami przez swój reklamarski styl imiennowej laurki?

Muzykologowie na dowód obrony nieznacznej roli w formowaniu nowej muzyki wysuwają argument jej siabkości. Argument ten wydaje się jednak działać na zasadzie bumerangu. Krytyka nie tylko, że nie pomogła kompozytorom w przewyżczeniu tych słabości, ale niejednokrotnie przez nieustanne chwaleństwo utrudniała rozszyfrowanie błędów. Patrząc na praktykę pisarską krytyków dziwić się tylko trzeba, z jakim spokojem godzą oni metodę niestannego przykłasku z lansowanym obiektywizmem czy zwykłą recenzentką uczciwością. Skoro oceny wypowiedziane przez nich w artykułach wnoszą pod niebiosa osiągnięcia muzyki dziesięciolecia, dlaczego teraz, w obliczu istotnych zarzutów, znalazły one zupełnie przeciwnie sformułowanie? Jeżeli zauważono w tej muzyce cienie i wychylenia, czemu nie pisano o nich wcześniej, nie dyskutowano, nie wtykano? Krytyka nieszczerza, tchorzliwa jest krytyką balamutną, o wartości zmierzającej ku zeru. Hindemith głosił kiedyś na likwidację tej nieużytecznej jego zdaniem dziedzinie życia. My wiemy jednak, jaką wartość przedstawia zdrowa, twórcza krytyka. Dla takich między innymi celów szkółki się przecież młode kadry muzykologów, na taką krytykę czekają kompozytorzy i zdezorientowani, pełni wątpliwości odbiorcy muzyczni.

JEAN Paul określił kiedyś muzykę jako „echa odległych a harmonijnych zaświatów...”, Zerowski, Romain Rolland czy Iwaszkiewicz pisali o niej tak pięknie, że opisy ich przemieniały się z drukarskich cziłek tekstu w najprawdziwszy koncert, w którym słowa odpowiadały tonom, a myśli — melodii. Takich mistrzów nie znajdzie się jednak wielu. Jakże trudno utrafić w ciąg słów odpowiadający ciągowi muzycznej frazy, odwzorować w literackim obrazie obrazu, jakiego przynosi muzyka. Nawet Schumann biegał wstążką dziennikarskim piórem wiedząc, że nie potrafi wyrazić nim subiektywnie swojej muzyki. Znajdując się kiedyś w towarzystwie przyjaciół toczących dyskusję na temat współza-

leżności sztuki i możliwości wyrażenia słowem treści muzycznych dzieł, Schumann rozdrażniony nieco wywodami recenzentów usiadł do fortepianu, by po oszalałemu improwizacji oświadczyć: „jeżeli znajdzie się, panowie, tłumacz zdolny wnieść przemienić język tej muzyki na słowa, powiem żeście mnie przekonali!”.

Tak oto gawędząc o ogólnych problemach krytyki muzycznej przyszło nam zatrzymać się przy specjalnym jej dziale — dziale recenzji.

Recenzja muzyczna, to właśnie poprowadzenie czytelnika na koncert, konfrontacja wrażeń przez niego odniesionych, najpowszechniejsza forma popularyzacji muzyki. Recenzent słowem wyrazić musi wrażenia słuchowe. Nie wymaga się oczywiście od niego naśladowania Romaina Rollanda czy Iwaszkiewicza (choć obaj oni poza literackimi zainteresowaniami muzyką, z powodzeniem uprawiali krytykę muzyczną), chciałoby się jednak znaleźć w jego recenzjach coś więcej ponad informacyjną notatkę. Tymczasem poziom znacznej ilości dzisiejszych recenzji woła o pomoc na ich autorów. Na pierwszy plan wybija się szablon formy i treści, szablon tak utarty, że po rzuceniu okiem, kto grał i jakie kompozycje, bez dalszego czytania recenzji wiadomo, co będzie dalej. Czasem autor nastraja się na fachuwość. Wtedy w zdaniach jego sprawozdań blizszą tryle i pedalicizacją, homofonia, pasaż i kontrpunkt, a spoza nich wyziiera opłót i nuda. Budzi się wtedy pytanie: czy naprawdę nadużywamy terminów fachowych lub typowo specjalistyczne wywoływa o dowodem fachuwością recenzenta? Recenzje muszą być fachowe, fachuwość ich powinna jednak uczyć, pociągać, zdobywać czytelnika, ale nigdy go odstraszać.

Zdarzają się też wypadki zbio-

rowej hypnozy. Przez wiele miesięcy recenzje muzyczne periodyków warszawskich z aprobatą opisywały występy orkiestry symfonicznej Filharmonii stołecznej. Zwykle na końcu sprawozdania znaleźć można było wiadomość, że „orkiestra brzmiała czysto i pewnie”. Aż przyszedł konkurs Chopinowski. Jakiś krytyk - indywidualista zagroził, że orkiestra Filharmonii Narodowej paskudzi. I oto jak za uderzeniem różdżki czarodziejskiej prasa zaroila się od kąśliwych uwag pod adresem warszawskiej orkiestry, pojawiających się przez parę tygodni. Dziś minął już czas naganek. Krytyk - indywidualista zaczął się do nowego skoku, a orkiestra Filharmonii Narodowej znów „brzmi czysto i pewnie”.

Warto zatrzymać się też chwilę nad sprawą różnicy zdań, jaka dość często pojawia się przy omawianiu tego samego koncertu przez różnych recenzentów. Trajnym przykładem takiej rozbieżności opinii są dwa sprawozdania z występu Artura Rubinsteina, opracowane przez dwóch znanych muzyków, a powtórzone za Muzyką Polską: „Sprawozdanie pierwsze: „spod palców Rubinsteina nie płynęła żadna głębsza treść muzyczna, jedynie szereg mechanicznie złożonych dźwięków, pozbawionych myśli przewodniej, okraszonych blagą i bezideową frazeologią”.

Sprawozdanie drugie: „Genialna intuicja kulturalnego muzyka cytuje w swoim kunscie odwołanie do klimatu stylów, epok i nastrojów dając im swoisty wyraz i indywidualny rys, nie zatracając przy tym nic z charakteru dzieła. Gra Artura Rubinsteina nacechowana świeżością iście młodzieńszym zapalem, ujmującą prostotą i szczerością wywiera na słuchacza całą gamę różnorodnych uczuć, porusza go, przejmując, budzi w nim refleksję, kontaktuje go ze światem natchnień twórcy przez cenne

leżności sztuki i możliwości wyrażenia słowem treści muzycznych dzieł, Schumann rozdrażniony nieco wywodami recenzentów usiadł do fortepianu, by po oszalałemu improwizacji oświadczyć: „jeżeli znajdzie się, panowie, tłumacz zdolny wnieść przemienić język tej muzyki na słowa, powiem żeście mnie przekonali!”.

Tak oto gawędząc o ogólnych problemach krytyki muzycznej przyszło nam zatrzymać się przy specjalnym jej dziale — dziale recenzji.

Recenzja muzyczna, to właśnie poprowadzenie czytelnika na koncert, konfrontacja wrażeń przez niego odniesionych, najpowszechniejsza forma popularyzacji muzyki. Recenzent słowem wyrazić musi wrażenia słuchowe. Nie wymaga się oczywiście od niego naśladowania Romaina Rollanda czy Iwaszkiewicza (choć obaj oni poza literackimi zainteresowaniami muzyką, z powodzeniem uprawiali krytykę muzyczną), chciałoby się jednak znaleźć w jego recenzjach coś więcej ponad informacyjną notatkę. Tymczasem poziom znacznej ilości dzisiejszych recenzji woła o pomoc na ich autorów. Na pierwszy plan wybija się szablon formy i treści, szablon tak utarty, że po rzuceniu okiem, kto grał i jakie kompozycje, bez dalszego czytania recenzji wiadomo, co będzie dalej. Czasem autor nastraja się na fachuwość. Wtedy w zdaniach jego sprawozdań blizszą tryle i pedalicizacją, homofonia, pasaż i kontrpunkt, a spoza nich wyziiera opłót i nuda. Budzi się wtedy pytanie: czy naprawdę nadużywamy terminów fachowych lub typowo specjalistyczne wywoływa o dowodem fachuwością recenzenta? Recenzje muszą być fachowe, fachuwość ich powinna jednak uczyć, pociągać, zdobywać czytelnika, ale nigdy go odstraszać.

Zdarzają się też wypadki zbio-

rozdział. Nauczyciele gimnastyki — uczucie skoku wżwyz, a młodzi plastycy — nie tracicie nadziei i przekonania. Ze stworzyć w Polsce prawdziwie współczesne, ale też prawdziwie polskie malarstwo.

Jerzy Olkiewicz

i rzadkie fluidy wzruszeń artystycznych”.

Cóż, krytycy są ludźmi i mogą w różny sposób odczuwać muzykę. Najbardziej jest tylko czytelnik, który na podstawie tych dwóch recenzji na pewno nie potrafiłby odpowiedzieć, jak właściwie grał Artur Rubinstein. Przykład powyższy jest stary, sięga jeszcze lat przedwojennych, ale i dziś jednak spotkać można niejednego podobny kwiatek.

MUZYKA jest sztuką trudną, w tym doskonałych więc powinna znaleźć tłumaczy. Recenzja jako rodzaj krytyki muzycznej odegrać w tym powinna pierwszorzędą rolę. Nie nastąpi to jednak nigdy, jeżeli autorzy ich nie porzucą utartego schematyzmu i źle pojętej fachowości. Jeżeli nie włożą w wiersze swych recenzji emocji, jakie przynieść musi opisywany twór, nie wypracują typu recenzji przejrzyściej, zrozumiałej dla każdego odbiorcy, a przy tym fachowej i mądrej. W ten bowiem tylko sposób sprawozdania krytyków muzycznych przestaną być dla czytelników pustym miejscem na gazetowej kolumnie.

Proces przeciwko krytyce zakończony. Ostatni Zjazd Związku Kompozytorów wystąpił z projektem urzędowania każdej jesieni w Warszawie wielkiego międzynarodowego festiwalu muzycznego z udziałem najlepszych orkiestr z różnych krajów, który byłby przeglądem bieżącej twórczości europejskiej. Podjęto także kroki mające na celu wydanie nowego, popularnego, a jednocześnie stojącego na wysokim poziomie czasopisma muzycznego. Zrealizowanie tych projektów, to już pierwszy skuteczny krok do rewizji procesu krytyki i oczyszczenia jej z postawionych ostatnio przez kompozytorów i odbiorców oskarżeń.

Jacek Ścieżyński